NR 39 (1912) 30 WRZEŚNIA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Rys. Krzysztof Brynecki

43. OGÓLNOPOLSKA PIELGRZYMKA LUDZI PRACY NA JASNĄ GÓRĘ

- MAINSTREAM CHCE DORWAĆ STANOWSKIEGO
- NOCNY TOAST ZA WARSZAWĘ

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

prasa-pl-47f4bae96f

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 47f4bae96f

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Są w życiu Związku wydarzenia cykliczne, które cementują wspólnotę Solidarności i przypominają o podstawowych ideach oraz wartościach, według których działamy. Co roku stają się dla nas drogowskazem potwierdzającym sens naszej związkowej pracy. Jednym z takich wydarzeń jest Ogólnopolska Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę.

W trzecią sobotę i niedzielę września tysiące osób – członków i sympatyków NSZZ „Solidarność" – pielgrzymowało do Częstochowy. Modlili się, powierzali swoje troski, dziękowali.

Pielgrzymka Ludzi Pracy z jednej strony jest rytuałem: co roku od czterdziestu trzech lat kolejne pokolenia pracowników powierzają swoje życie i codzienny trud Matce Bożej. Z drugiej strony – to podczas niej każdego roku pytamy na nowo: kim jesteśmy jako wspólnota? Co dziś znaczy solidarność w świecie, w którym coraz częściej każdy idzie własną drogą?

Przewodniczący Piotr Duda przypomniał w tym roku, że sztandary Związku nie są muzealnymi eksponatami. – Nie pozwolimy schować ich do szuflady historii – podkreślił. W jego słowach brzmiała nie tylko troska o Związek, ale także szersze pytanie o kondycję społeczną.

Tym, co szczególnie odróżnia Pielgrzymkę od wielu innych masowych zgromadzeń, jest bowiem doświadczenie szczególnej wspólnoty. Mimo różnych problemów w poszczególnych częściach Polski i w różnych branżach w Solidarności jesteśmy razem.

Czy taka wspólnota jest jeszcze możliwa? I co ma wspólnego modlitwa na Jasnej Górze z codziennymi problemami? Ma bardzo wiele. To właśnie brak solidarności sprawia, że tak łatwo jednych rozgrywać przeciw drugim. Wszyscy pragniemy godnej pracy i życia, ale każdy osobno przegrywa.

Pielgrzymka Ludzi Pracy jest czymś więcej niż religijnym zwyczajem. To przypomnienie, że bez wspólnoty nie ma wolności, a bez solidarności trudno walczyć o godną pracę.

Dlatego Pielgrzymka jest czymś więcej niż religijnym zwyczajem. To przypomnienie, że bez wspólnoty nie ma wolności, a bez solidarności trudno walczyć o godną pracę. To lekcja, którą Solidarność nieustannie daje Polsce i światu. W 1980 roku, kiedy Solidarność wchodziła na drogę ku wolności, również podkreślano przywiązanie do wartości chrześcijańskich, a wiara dawała Polakom siłę, by sprzeciwić się złu. Dziś Pielgrzymka przypomina, że ten kapitał wciąż w nas trwa.

MASZYNA DO RYSOWANIA KARNKOWSKI

eprasa.pl 47f4bae96f

30.09.2025
WYDANIE Nr
39

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

43. Pielgrzymka Ludzi Pracy

6 „W Ojców wierze daj wytrwanie, Maryjo...”

10 Czasy się zmieniają, wartości pozostają

KRAJ

Tusk stał się politycznym wampirem 12
Bez racji stanu nie ma państwa 16
Nocny toast za Warszawę 20
Drony a infowojna 24
Mainstream na wojnie ze Stanowskim 28

GOSPODARKA

WIBOR nasz powszedni 36

ZAGRANICA

Finlandyzacja, czyli krążenie fikcyjnego widma 40
Jak wykończyć prawicę 44

KULTURA

Biorę odpowiedzialność za słuchaczy. Rozmowa z Danielem Goralem 50
„Zamach” z dedykacją 52

ZWIĄZEK

Co w związku 60
Antyzwiązkowy prezes odwołany. Bez Solidarności nie byłoby to możliwe 62

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

FELIETONY:

WOŚ 5
OKRASKA 15
KRYSZTOPA 35
GAC 47
PŁUŻAŃSKI 59

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 27
ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 34
KARUZELA Z BLOGERAMI 39
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 48
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 56
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 58
PRAWO 64

eprasa.pl 47f4bae96f

Rafał Woś

Prawa pracownicze + Pan Bóg = Solidarność

Jak odróżnić Solidarność od produktów „solidarnościopodobnych”? Nic prostszego. Wystarczy sprawdzić, kto do dziś trzyma się dwóch podstawowych wartości Związku, czyli praw pracowniczych oraz wiary w Boga. I tak dostaniecie odpowiedź bez żadnych fałszywych tonów.

Nie jest tajemnicą, że mamy w Polsce wiele środowisk, które chętnie położyłyby rękę na dziedzictwie Solidarności. Niektóre mają nawet po swojej stronie paru autentycznych opozycjonistów sprzed lat. I gdy przychodzi potrzeba (najczęściej polityczna), by w Solidarność uderzyć, to się takiego legendarnego działacza wyciąga. On zaś mówi, że „S” jest tam u nich, a największy polski związek zawodowy się tylko podszywa. I w ogóle nie ma nic wspólnego.

Ale popatrzcie na konkrety. Sprawdźcie, jak te alternatywne „Solidarności” odnoszą się do dwóch podstawowych wartości związku. Podstawowych wtedy w roku 1980 i podstawowych teraz – 45 lat później. Dzięki temu prostemu trikowi szybko odkryjecie, że tamte postsolidarnościowe środowiska od lat (a często już nawet dekad) nie mają z realną walką o prawa pracownicze absolutnie nic wspólnego. Nie dziwota, że oni nawet z Porozumień Sierpniowych wyjmują najchętniej hasła polityczne. Ale już te spośród 21 postulatów, które dotyczyły płac, warunków pracy, zabezpieczeń społecznych czy czasu wolnego, uważać będą za zawracanie głowy. Powiedzą, że to nawet wtedy – w roku osiemdziesiątym – to była tylko taka przystawka. Albo że przecież wszystkie te bolączki zostały wraz z nastaniem wolnej Polski zrealizowane (bzdura, nie zostały!). Ilekroć się więc Solidarność upomina o te sprawy, dziś w warunkach liberalnego kapitalizmu III RP, tyle razy jest besztana przez tych dawnych działaczy, którzy świetnie się w międzyczasie z elitami liberalnej III RP ułożyli.

Drugim niezawodnym testem na to, kto jest z ducha Solidarności, a kto się tylko pod tego ducha podszywa, jest pytanie o Boga. W pracy, w przestrzeni publicznej i (tak, tak) w polityce. I znów zwolennicy przeróżnych „nowych” Solidarności najchętniej by tego Boga zostawili (razem z krzyżem i Matką Boską) na historycznej bramie stoczni. Niech sobie tam wiszą i cieszą oko zwiedzających muzea „ku pamięci”. Ale niech się ten Bóg nie śmie mieszać do polskiego tu i teraz. Zauważcie, że dla nich dużo prędzej przejdzie przemalowanie „S” na błękitno-gwiazdkowe kolory europejskie. Ale na pewno nie przejdzie Solidarność zginająca kolano przed ołtarzem, tak jak zginała wtedy w roku 1980. To już będzie „prowokacja” i dowód na upolitycznienie tradycji „S”. Wywabianie Jana Pawła II i Maryi z solidarnościowej symboliki takim upolitycznieniem dla nich oczywiście nie jest.

Nie ma w tym sensie drugiego takiego wydarzenia jak doroczna Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę. To jest dla „solidarnościopodobnych” zbyt wiele prawdziwej Solidarności. Dlatego reagują na nią jak hrabia Dracula na promienie słoneczne. Co tylko potwierdza, że „S” powinna tę tradycję pielęgnować aż do końca świata.

A może nawet jeszcze dłużej.

eprasa.pl 47f4bae96f

Temat Tygodnia

„W Ojców wierze DAJ WYTRWANIE, Maryjo...”

Fot. M. Zegliński(3)

eprasa.pl 47f4bae96f

– Pod takim hasłem odbyła się tegoroczna 43. Ogólnopolska **Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę.** Związkowcy przybyli do Częstochowy tradycyjnie w trzecią sobotę i niedzielę września, by kontynuować pielgrzymkową tradycję zapoczątkowaną w 1983 roku przez bł. ks. Jerzego Popiełuszkę – wówczas kapelana, a dziś patrona NSZZ „Solidarność".

Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska

Związkowcy, parlamentarzyści, duszpasterze ludzi pracy, członkowie rodziny bł. ks. Jerzego Popiełuszki i setki pracowników z całego kraju przybyli 20 i 21 września na Jasną Górę, by wspólnie modlić się u stóp Matki Bożej Częstochowskiej – Królowej Polski na 43. Ogólnopolskiej Pielgrzymce Ludzi Pracy.

W pierwszym dniu, jeszcze przed nabożeństwem, członkowie Solidarności złożyli kwiaty i odmówili modlitwę pod pomnikiem swojego patrona, prosząc Pana Boga o rychłą kanonizację bł. ks. Popiełuszki. – Dziękujemy Ci za szlachetną ideę solidarności serc i umysłów, która łączyła Polaków, i za całe dziedzictwo NSZZ „Solidarność". Dziękujemy Ci za tych, którzy w tamtym czasie walczyli o godność człowieka i ludzkiej pracy, którzy odważnie sprzeciwiali się kłamstwu i niesprawiedliwości, zachowali honor i do końca pozostali wierni Bogu i danemu Słowu. Powierzamy Ci tych, którzy cierpieli i zginęli za słuszną sprawę. Prosimy Cię, Boże, za wszystkich, którzy dziś kontynuują walkę i trud poprzednich pokoleń Solidarności. Niech swoją uczciwą pracą przyczyniają się do pomnożenia dobra w naszej Ojczyźnie, a swoją działalnością związkową i społeczną służą bliźnim, zwłaszcza najbardziej potrzebującym – prosił w modlitwie ks. kanonik Michał Kotowski, duszpasterz ludzi pracy w Archidiecezji Warszawskiej.

Przed pomnikiem błogosławionego męczennika głos zabrał także wiceszef Solidarności Bartłomiej Mickiewicz, który zapewniał, że postać ks. Jerzego i często przytaczane przez niego słowa św. Pawła, by „zło dobrem zwyciężać", pozostaną w sercach związkowców i nie pójdą w zapomnienie.

„Codziennie wychodzimy siać"

Pierwszego dnia Pielgrzymki, w trakcie wieczornej Mszy Świętej na Szczycie, abp Adrian Galbas skupił się w homilii na wysiłku pracy i jej owocach.

Duchowny mówił, że „jako ludzie pracy codziennie wychodzimy siać": rolnik idzie na swoje pole, robotnik do fabryki, pielęgniarka do szpitala, nauczyciel do szkoły, a do tego dochodzą obowiązki domowe w roli rodziców. Każdy z nas codziennie wrzuca w ziemię „ziarna naszego czasu, umiejętności, kompetencji, kwalifikacji, zdrowia, sił i nadziei".

– Czasem ziarno naszego wysiłku pada na drogę i jest wydziobywane, niszczone, marnowane i psute. Ileż razy nasza praca bywa deptana, niezauważona czy lekceważona. Ileż razy czujemy się tylko numerem, korpotrybikiem i pionkiem [...]. Czasem ziarno pada między ciernie. Dobrze rośnie, ale ciernie je zagłuszają. Tak dzieje się wtedy, gdy praca staje się wyścigiem, gdy chciwość dławi solidarność, gdy troski codzienności odbierają pokój serca – wskazywał.

Metropolita Warszawski przypomniał też naukę św. Jana Pawła II na temat godności pracy, którą wygłosił w 1983 roku na katowickim lotnisku. Ojciec Święty mówił wtedy, że „praca posiada swoją zasadniczą wartość, dlatego że jest spełniana przez człowieka". – Na tym opiera się też godność pracy, która winna być uszanowana bez względu na to, jaką pracę człowiek wykonuje – ważne jest, że wykonuje ją człowiek – podkreślał papież Polak.

Arcybiskup cytował również obecnego papieża Leona XIV, który mówił niedawno: – To jest niesprawiedliwe, że pracownicy, którzy ciężko pracują każdego dnia, często nie mogą godnie utrzymać swoich rodzin, podczas, gdy korporacje generują miliardowe zyski.

– Trzeba też dziś przypominać to, co mówi Katechizm Kościoła, że dostęp do pracy i do zawodu powinien być otwarty, bez niesprawiedliwej dyskryminacji dla wszystkich: mężczyzn i kobiet, zdrowych i z niepełnosprawnościami, tubylców i migrantów [...]. Mówi także, że władza państwowa, jeśli nie chce narażać człowieka pracy na krzywdy i niesprawiedliwości, ma zagwarantować, by człowiek, który pracuje i wytwarza, mógł korzystać z owoców tej pracy, a więc znajdował bodziec do wykonywania jej skutecznie i uczciwie. O to tak bardzo upominał się bł. ks. Jerzy, nasz wielki patron – zwracał uwagę duchowny.

eprasa.pl 47f4bae96f

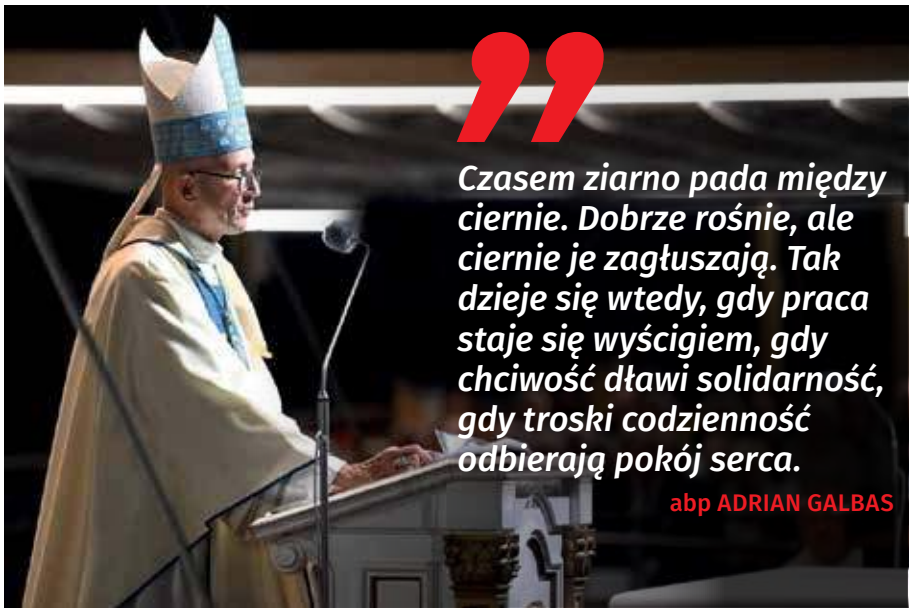

Abp Adrian Galbas wyraził nadzieję, że większość uczestników Pielgrzymki Ludzi Pracy zjawiła się na Jasnej Górze, by podziękować Panu Bogu za doświadczenie godziwej pracy, spełnianej z radością, przynoszącej satysfakcje, która przypomina ziarno rzucone na dobrą ziemię, takiej pracy, o której mówi Psalm 128: „Szczęśliwy każdy, kto boi się Pana, który chodzi Jego drogami! Bo z pracy rąk swoich będzie pożywał, będziesz szczęśliwy i dobrze ci będzie".

Dalsze rozważania o „pracy, która jest wpisana w sukces ziarna" kontynuował w trakcie Apelu Jasnogórskiego biskup łowicki Wojciech Osial: – Najpierw jest ta praca wewnętrzna ze Słowem Bożym. Bo gdy przyjmiemy Słowo Boże i popracujemy, aby ono nas zmieniało, to i praca ludzka na roli i w fabryce stanie się inna. Poprzez pracę człowiek nie tylko przekształca świat, ale przede wszystkim realizuje siebie, urzeczywistnia siebie jako człowieka, ma udział w dziele stwórczym samego Boga – tłumaczył duchowny.

Pierwszy dzień zwieńczyło nabożeństwo Drogi Krzyżowej na jasnogórskich wałach. W trakcie rozważań symbol wiary chrześcijańskiej, drewniany Krzyż, nieśli przedstawiciele Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność" – Regionu, który współorganizował tegoroczną Pielgrzymkę Ludzi Pracy.

„Tak, wierzymy w Jezusa Chrystusa"

Drugi dzień Pielgrzymki rozpoczął się od koncertu Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" oraz wspólnej modlitwy różańcowej. Potem do zebranych na jasnogórskich błoniach przemówił przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". Piotr Duda podkreślał, jak ważne jest to, że „pielęgnujemy testament naszego patrona ks. Jerzego" i że „jesteśmy tutaj wszyscy razem": – Nie w pielgrzymce różnych zawodów, tylko Pielgrzymce Ludzi Pracy, tak jak sobie tego życzył bł. ks. Jerzy Popiełuszko– zaznaczył.

Dodał przy tym, że stanowi ona „wielką demonstrację naszej wiary i przywiązania do wartości, które związek zawodowy Solidarność ma wpisane w statucie: wartości chrześcijańskich i społecznej nauki Kościoła", a związkowcy, przybywając do Częstochowy, mówią dumnie z tego miejsca: „Tak, wierzymy w Jezusa Chrystusa! I niesiemy to w codziennej naszej pracy, aby pracownikom w Polsce żyło się godnie, a praca była bezpieczna".

Zachowując podniosły ton, Piotr Duda przypomniał, że Solidarność kończy w tym roku 45 lat i jest profesjonalnym związkiem zawodowym o poglądach konserwatywnych, wyjątkowym na mapie świata również z tego względu, że ma za patrona księdza bł. Jerzego Popiełuszkę.

W dalszej części przemówienia szef Solidarności poruszył kwestie pracownicze, takie jak zbyt niski wzrost płacy minimalnej i stawki godzinowej, a także „dodatek inflacyjny", czyli 3-procentową podwyżkę wynagrodzeń w sferze budżetowej. Skrytykował także marny poziom dialogu społecznego.

– Stawka godzinowa w przyszłym roku wzrośnie o 90 groszy. To jest 90 groszy wstydu dla tego rządu. Dlatego domagamy się dialogu i rozmów na forum Rady Dialogu Społecznego, która w tym roku też ma swój jubileusz 10-lecia. Od prawie półtora roku zapraszamy na posiedzenie RDS premiera polskiego rządu i nie doczekaliśmy się spotkania. Odbyły się za to dwa z prezydentem Andrzejem Dudą, kolejne będzie w październiku z prezydentem Karolem Nawrockim, ale premier nie chce prowadzić dialogu i spotykać się ze stroną społeczną – wyliczył Piotr Duda.

– Dzisiaj sytuacja w naszym kraju zmierza w bardzo złym kierunku. Brak nam drugiej strony do rozmów, a problemów jest mnóstwo. Coraz gorsza sytuacja w zakładach pracy, zwolnienia grupowe, likwidacja całych zakładów pracy, która spowodowana jest tym, z czym związek zawodowy

eprasa.pl 47f4bae96f

Solidarność od wielu lat walczy, czyli ze zgniłym Zielonym Ładem, który niszczy polską gospodarkę i niszczy polskie rodziny. Dlatego chcemy prowadzić dialog i rozmawiać, ale po drugiej stronie jest głucha cisza – stwierdził przewodniczący.

Na koniec Piotr Duda złożył podziękowania rodzinie bł. ks. Jerzego Popiełuszki, która co roku przybywa na Pielgrzymkę Ludzi Pracy, bohaterom Sierpnia 1980 roku, „dzięki, którym możemy cieszyć się wolnością", gospodarzom – Ojcom Paulinom – za to, że związkowcy mogą czuć się na Jasnej Górze „jak w domu", duszpasterzom towarzyszącym związkowcom, nie tylko od święta, ale „na dobre i na złe" w codziennej pracy, a także wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania tegorocznej Pielgrzymki.

– Szczególne podziękowania kieruje do naszych pocztów sztandarowych. Jesteście wielcy. Niezależnie od tego, czy pada deszcz, śnieg czy jest piękna pogoda, wy zawsze stoicie. Pokażcie te nasze sztandary, podnieście je, a my podziękujmy im, że są zawsze z nami. Jesteśmy dumni z naszym sztandarów i nigdy nie pozwolimy, aby te sztandary ktokolwiek chował do szuflady historii – podkreślił przewodniczący Duda.

„Religia wychowuje dobrych obywateli"

43. Pielgrzymkę Ludzi Pracy zakończyła Msza Święta na Szczycie, której w tym roku przewodniczył ks. abp Józef Kupny, a homilię wygłosił abp Zbigniew Zieliński.

– Chociaż zmieniają się czasy i okoliczności, to troski świata pracy są podobne, bo chodzi o godność ludzkiej pracy, o ekonomię, która ma chronić, a nie zabijać. Gdy zaś chodzi o to, co jest dziś szczególnie bliskie naszym sercom, to z pewnością w naszej Ojczyźnie jest to troska o następne pokolenie i to, byśmy mogli mu zaproponować nie tylko godziwe życie materialne, ale także warunki rozwoju, w tym rozwój duchowy – mówił metropolita poznański, dodając, że w czasie Pielgrzymki nie może zabraknąć także modlitwy o pokój, „o nawrócenie serc ludzi oszalałych z nienawiści i napędzających wojenną machinę oraz tych, którzy poddani są ich zniewalającej władzy".

Arcybiskup poruszył również temat duchowego rozwoju młodego pokolenia i stojące w opozycji propozycje „redukcji lekcji religii, opiłowania ludzi wyznających wiarę i zastępowania wartości naturalnych i fundamentalnych ideologiami – dziś skrywanymi pod pozorami rzekomej troski o zdrowie młodych ludzi".

– Takim przykładem z pewnością jest usunięcie z edukacji szkolnej „wychowania do życia w rodzinie", a zastąpienie go tzw. edukacją zdrowotną – argumentował.

Wskazywał również, że „mądra władza potrafi dostrzec, że religia wychowuje dobrych obywateli".

W tym kontekście metropolita poznański wspomniał postawę Beaty Sperczyńskiej. Była to opiekunka wyniesionego niedawno na ołtarze św. Karola Acutisa. Polka nauczyła przyszłego świętego odmawiania po polsku modlitwy „Aniele Boży, Stróżu Mój..." i była jedną z pierwszym osób, które mówiły Karolowi o Bogu, i prowadziła go regularnie na Msze Święte.

W przyszłym roku współorganizatorem Pielgrzymki będzie Region Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność".

> ***Szczególne podziękowania kieruję do naszych pocztów sztandarowych. Jesteście wielcy. Nigdy nie pozwolimy, aby te sztandary ktokolwiek chował do szuflady historii.***
>
> **PIOTR DUDA**

eprasa.pl 47f4bae96f

Czasy się zmieniają, wartości pozostają

Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę odbywająca się co roku w trzecią niedzielę września gromadzi ludzi Solidarności skupionych wokół wartości dających się streścić w haśle: „**Bóg – Honor – Ojczyzna**”.

Agnieszka Żurek

Co roku u tronu Jasnogórskiej Pani związkowcy powierzają Bożej Opatrzności problemy świata pracy i sprawy najważniejsze dla kraju.

Ekonomia ma służyć człowiekowi

Arcybiskup Zbigniew Zieliński, który wygłosił homilię podczas tegorocznej Pielgrzymki, podkreślił, że czasy wprawdzie się zmieniają, ale wartości pozostają te same. Jako jedną z podstawowych wymienił w tym kontekście kwestię obrony godności ludzkiej pracy. – Ekonomia ma służyć człowiekowi, a nie zabijać – zaznaczył.

Pomysłodawcą Pielgrzymki i pierwszym jej organizatorem był patron Solidarności bł. ks. Jerzy Popiełuszko. Pierwsza Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę zorganizowana przez niego w 1983 roku zgromadziła kilka tysięcy uczestników, głównie robotników. Wzięła w niej udział poetka Barbara Sadowska, mama zamordowanego przez milicję maturzysty Grzegorza Przemyka. Po Mszy Świętej została odczytana Modlitwa Dziękczynna Robotnika. „My, robotnicy zgromadzeni na pierwszej Pielgrzymce u stóp Jasnej Góry, dziękujemy Pani Jasnogórskiej za Matczyną opiekę nad nami. W mroczne grudniowe noce byłaś razem z nami. Z nami poszłaś do cel więziennych. Dzisiaj specjalnie dziękujemy Ci, Matko, my ludzie z hut, stoczni i kopalni. Zawierzyliśmy Tobie i Ty nas nigdy nie opuściłaś” – brzmiały jej słowa.

Ksiądz Jerzy Popiełuszko poprowadził wówczas Drogę Krzyżową na Wałach Jasnogórskich. Wypowiedziane przez niego wówczas słowa nie straciły niczego ze swojej aktualności. – Tak trudno dziś zachować właściwą godność, kiedy człowiek jest poniewierany, kiedy staje się narzędziem pracy. Musimy być silni Tobą, Jezu Chryste, aby nie dać się uwieść tym, którzy chcą budować naszą Ojczyznę na tym, co ziemskie – mówił wówczas przyszły męczennik.

Druga Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę, zorganizowana w roku 1984, stała się ostatnią w ziemskim życiu księdza Jerzego. Rozważania Drogi Krzyżowej poprowadził wówczas duszpasterz środowisk niepodległościowych ks. Kazimierz Jancarz. Mówił wówczas o „modlitewnej pokorze połączonej z niezłomną wiarą w zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości nad zakłamaniem, fałszem i okrucieństwem”. Jak przypomina na kartach katalogu wystawy „Ogólnopolskie Pielgrzymki Ludzi Pracy na Jasną Górę” dr Grzegorz Majchrzak: „Służba Bezpieczeństwa informowała o sześćdziesięciu transparentach z napisami o «wrogiej treści», zaliczając do nich m.in. transparent z napisem: «Matko, daj wytrzymałość robotnikom Ursusa»”. Bezpieka stale utrudniała gromadzenie się robotników na wspólnej modlitwie przed tronem Jasnogórskiej Pani. Funkcjonariusze SB rozpuszczali np. plotki o tym, że Pielgrzymka Ludzi Pracy została odwołana, próbowali usuwać transparenty z „nieprawomyślnymi” napisami i na różne sposoby zakłócać przebieg uroczystości. Szczególnie tępione były napisy z hasłem „Solidarność”.

Tradycją Pielgrzymek Ludzi Pracy stała się modlitwa nie tylko za bieżące sprawy Ojczyzny, ale także za poległych w walce z okupantami. Pani Jasnogórskiej powierzano poległych akowców, ofiary Czerwca 1956, ofiary Grudnia 1970 roku, zamordowanych w Ursusie i Radomiu w 1976 roku, ofiary stanu wojennego, ludzi zabitych przez „nieznanych sprawców”... Modlono się także za inne zniewolone przez komunistów narody. Szybko przeszło do tradycji coroczne odczytywanie telegramu pielgrzymów do św. Jana Pawła II, a także posłania kierowanego do nich przez polskiego papieża.

W Ojców wierze daj wytrwanie

Po początkowej chęci „wyciszenia” Pielgrzymki Ludzi Pracy na Jasną

eprasa.pl 47f4bae96f

Fot. T. Gutry

Częstochowa, lata 80.

Górę władze kościelne zmieniły zdanie i postanowiły wesprzeć tę inicjatywę. W roku 1985 w Pielgrzymce wziął udział przewodniczący Komisji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Ludzi Pracy kard. Henryk Gulbinowicz. Hasłem modlitewnego wydarzenia był tak bliski kapelanowi Solidarności cytat ze św. Pawła: „Zło dobrem zwyciężaj". Na pielgrzymkę przybyli także rodzice ks. Jerzego, których obecność na Jasnej Górze w każdą trzecią niedzielę września stała się od tamtej pory tradycją. Po śmierci Marianny i Władysława Popiełuszków w Pielgrzymce Ludzi Pracy nadal biorą udział ich dzieci i dalsza rodzina bł. ks. Jerzego.

Szczególnie liczną pielgrzymką stała się ta w roku 1989, kiedy to na Jasną Górę przybyło według różnych szacunków od 350 tysięcy do pół miliona uczestników. „Władze po raz pierwszy nie utrudniały udziału w niej – nie było problemu z wynajmem autokarów czy wagonów kolejowych dla pielgrzymów. Na przykład rzeszowskie PKP udostępniły pielgrzymom dwanaście wagonów. Pielgrzymów jadących autokarami udekorowanymi związkowymi transparentami oraz flagami pozdrawiali mieszkańcy mijanych miejscowości. Było zdecydowanie bardziej uroczyście niż w latach poprzednich – na wałach klasztornych ustawiono 520 sztandarów związkowych" – pisze w swoim albumie dr Grzegorz Majchrzak.

Uczestnicy Pielgrzymek Ludzi Pracy co roku upominają się o to, aby zgodnie z tym, o co apelował św. Jan Paweł II, „bardziej «być» niż «mieć»", ale zarazem także o to, aby to „mieć" było dostępne dla wszystkich, a nie jedynie dla wąskiej grupy uprzywilejowanych. Hasła te stały się szczególnie ważne po roku 1989, kiedy Polska musiała zmierzyć się nie tylko z przekształceniami własnościowymi, ale także z niesioną z Zachodu laicyzacją. Solidarność z Jasnej Góry co roku apeluje o poszanowanie nauki społecznej Kościoła katolickiego, broni krzyża oraz polskiej tożsamości. Przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Piotr Duda wielokrotnie wskazywał podczas Pielgrzymek Ludzi Pracy na chrześcijańskie korzenie Związku, jasno deklarując, że stanowią one jego niezachwiany fundament. – Wierzymy w Jezusa Chrystusa. Nie pozwolimy schować naszych sztandarów do szuflady historii – zapewnił szef Solidarności podczas tegorocznej 43. Pielgrzymki Ludzi Pracy odbywającej się pod hasłem: „W Ojców wierze daj wytrwanie, Maryjo".

eprasa.pl 47f4bae96f

Czar prysł raz na zawsze. Premier nie potrafi już czarować tłumów ani uwodzić opinii publicznej. Aby **przełamywać społeczną niechęć**, musi ogrzewać się w blasku żołnierzy, przedsiębiorców czy patriotów, z których jeszcze niedawno drwił.

Mariusz Staniszewski

Tusk stał się politycznym WAMPIREM

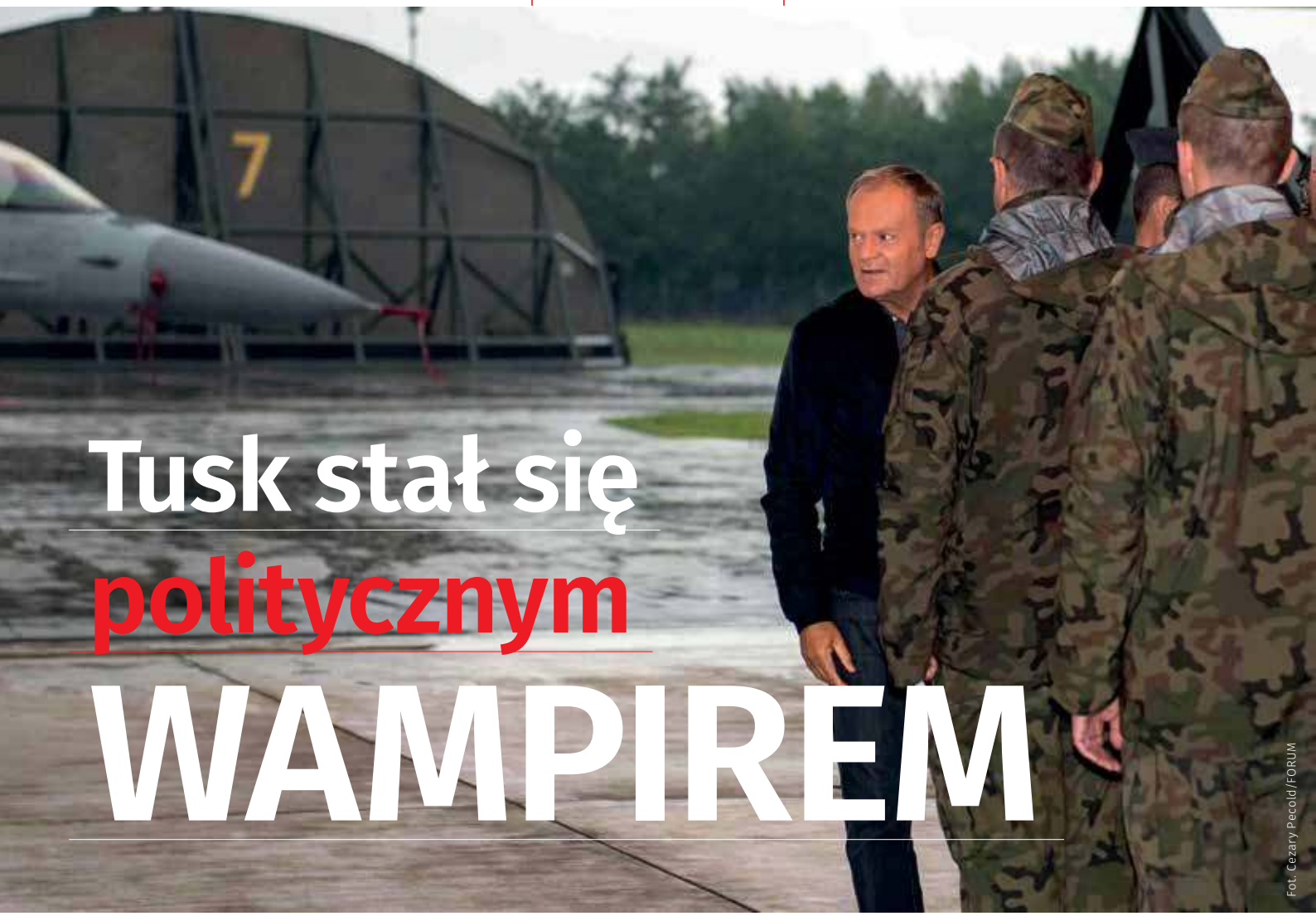

Fot. Cezary Pecold/FORUM

Czasy, w których kłamstwo Donalda Tuska miało siłę prawdy, minęły bezpowrotnie. Nawet sprzyjające mu media – oczywiście poza najwierniejszymi pretorianami z Onetu czy TVN – nie biorą poważnie zapowiedzi premiera o szybkim skoku cywilizacyjnym, rozliczaniu PiS-owskich nadużyć czy budowie nowoczesnego państwa. Rzeczywistość jest twarda i przytłaczająca. Z powodu szybko rosnącego zadłużenia agencje ratingowe obniżają perspektywę dla Polski, a rząd nie umie ani zwiększyć ściągalności podatków, ani szukać prawdziwych oszczędności.

Dlatego Tusk stara się przebrać w obce ciuchy i udawać kogoś innego. Nie tylko usiłuje zmienić profil własnego przywództwa, ale przede wszystkim wyssać z sojuszników i przeciwników wszystko, co zapewnia im sympatię wyborców oraz ich poparcie. W pewnym sensie próbuje dokonać wrogiego przejęcia tożsamości rywali.

W chwale armii

Wtargnięcie rosyjskich dronów w polską przestrzeń powietrzną zapewniło premierowi trochę wytchnienia. Nie tylko odwróciło uwagę

eprasa.pl 47f4bae96f

opinii publicznej od nieudolności rządu, ale pozwoliło też pokazać się szefowi rządu wśród bohaterów. Doskonale wiedział, że wojskowy mundur cieszy się w Polsce ogromnym i ciągle rosnącym szacunkiem, dlatego szybko przystroił się w piórka przyjaciela żołnierzy.

– Zaufanie do wojska zadeklarowało dzisiaj 94 procent Polaków. Wojsko i władze państwowe stanowiły jedność w chwili próby. Polska dała całemu światu przykład odwagi, odpowiedzialności i narodowej solidarności w obliczu zagrożenia. Nie pozwólmy nikomu tego zmarnować. Nikomu! – mówił Tusk tuż po zestrzeleniu rosyjskich dronów.

W bazie lotniczej w Łasku jeszcze mocniej dął w patriotyczne tony: – Jesteście bohaterami. Nikt nie może mieć wątpliwości, że bez was Polska byłaby bezbronna.

Premier bardzo sprytnie chciał pokazać, że rząd i armia strzegąca naszych granic stanowią jedność. Dzięki temu część zaufania, jakim cieszy się mundur, miała spłynąć na rząd, który szoruje po dnie pod względem popularności. Dzięki temu każdy, kto odważy się skrytykować rząd, miał być także przeciwnikiem armii.

Zabieg w pewnym zakresie okazał się skuteczny, gdyż Platforma Obywatelska zyskała w momencie kryzysu kilka punktów procentowych poparcia.

A przecież to ten sam premier, którego rząd stworzył specjalny zespół prokuratorów ścigających żołnierzy strzegących granicy z Białorusią. To ten sam polityk, który jeszcze niedawno porównywał wojskowych do przestępców, a dziś nagradza tych, którzy przed wyborami mundurowych nazywali zbrodniarzami.

Kluczowa w zmianie stanowiska nie była transformacja poglądów Tuska. Najistotniejsza jest chwilowa korzyść propagandowa. Jeśli mógł ogrzać się w blasku munduru, to natychmiast z tego skorzystał. Pozbawiony takiego otoczenia jest wyłącznie starym, zmęczonym, przegranym politykiem.

W blasku Brzoski

Patent ten Tusk przetestował już wcześniej z przedsiębiorcą Rafałem Brzoską. Premier niby spontanicznie wywołał go podczas konferencji na Giełdzie Papierów Wartościowych i zaproponował udział w deregulowaniu państwa. To miał być wielki projekt uwalniający polski biznes z kajdan skomplikowanych przepisów.

Tuskowi jednak ani przez moment nie zależało na usprawnieniu administracji czy ulżeniu doli pracodawców. Ani jedno, ani drugie nie ma dla niego żadnego znaczenia. Istotne było pokazanie się w towarzystwie człowieka, który odniósł rzeczywisty sukces w biznesie. Premier chciał wysłać sygnał, że grają w jednej drużynie.

Gdy jednak Rafał Brzoska wyliczał, że jego InPost płaci w Polsce setki milionów złotych podatku rocznie, a konkurencyjna na rynku niemiecka firma kurierska nie odprowadziła ani grosza, Tusk zapadł się pod ziemię. Milczał, by nie musieć się tłumaczyć z tej jawnej niesprawiedliwości oraz nieudolności.

Liczył się jedynie chwilowy efekt, w którym szef rządu mógł błyszczeć odbitym światłem multimilionera Rafała Brzoski. Bo przecież sukces ciągnie do sukcesu.

Wielki wizjoner

Pierwsze dwa lata rządów obecnej ekipy to wstrzymanie, opóźnienie lub drastyczne wykastrowanie wielkich inwestycji rozwojowych i infrastrukturalnych rozpoczętych przez PiS. W przypadku projektu „Izera", czyli polskiego samochodu elektrycznego, zamknięciu towarzyszyły drwiny. Gdy ograniczano zakres budowy CPK, premier i jego zaplecze mówiło o gigantomanii oraz wielkich nadużyciach. Przestępstw obecna ekipa doszukiwała się także przy przygotowaniach do uruchomienia elektrowni atomowych.

Tusk nie zrozumiał wówczas, że rozminął się z oczekiwaniami i aspiracjami Polaków. W przeciwieństwie do żelaznego elektoratu PO, większość społeczeństwa nie czuje żadnych kompleksów wobec Zachodu. Nowoczesność i mobilność jest dla niej oczywistością. Podróżując po świecie, rodacy dostrzegli, że w wielu aspektach Polska jest lepiej zorganizowana niż bogatsze od nas kraje.

> PIERWSZE DWA LATA RZĄDÓW OBECNEJ EKIPY TO WSTRZYMANIE, OPÓŹNIENIE LUB DRASTYCZNE WYKASTROWANIE WIELKICH INWESTYCJI ROZWOJOWYCH I INFRASTRUKTURALNYCH ROZPOCZĘTYCH PRZEZ PiS.

eprasa.pl 47f4bae96f

Lider PO zrozumiał tę zmianę nastrojów dopiero po wygranej Karola Nawrockiego i jego „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy". Tusk bez oglądania się na wcześniej głoszone poglądy, ogłosił się więc gospodarczym nacjonalistą. Postanowił po prostu podpiąć się pod wzbierającą falę antyglobalizmu, by całkowicie nie zostać w tyle.

Ponieważ jednak w sposób szczególny sprzyja niemieckiemu biznesowi, znalazł się w sytuacji konfliktu interesów. Przedstawiając się jako zwolennik nowoczesności, zapowiedział uruchomienie w naszym kraju kolei dużych prędkości, czyli takich, które będą mknąć 320 kilometrów na godzinę. Gdy coraz większa grupa ekspertów, przedsiębiorców i dziennikarzy zaczęła dostrzegać fakt, że takie rozwiązanie wprost daje preferencje koncernom z Niemiec czy Francji, Tusk wrócił do tożsamości gospodarczego nacjonalisty. Ogłosił: „Polska może być dumna z firm, takich jak PESA i NEWAG. Musimy wierzyć w nasze możliwości, dlatego to polskie firmy muszą być wiodącymi partnerami w historycznym przedsięwzięciu, jakim będzie kolej dużych prędkości".

Na jednym oddechu wymówił: „duma z polskich firm i historyczne przedsięwzięcie". To ma pokazywać patriotyczną twarz premiera. Tyle tylko że to jawny, oczywisty fałsz. PESA i NEWAG nie produkują składów osiągających 320 kilometrów na godzinę, a taki parametr został ustalony w przetargu. Polskie firmy nie mogą więc wziąć w nim udziału. Eksperci mówią o tym otwarcie, a Stowarzyszenie „Tak dla CPK" przygotowało petycję w sprawie zmian warunków przetargu. Domagają się, by przy tak wielkim projekcie nasze przedsiębiorstwa nie zostały pominięte. Stowarzyszenie postuluje więc „uruchomienie ze środków przeznaczonych na innowacje programu, którego celem będzie stworzenie i budowa polskiego pociągu KDP osiągającego do 250 km/h – tak, aby Polska nie była zależna od importu technologii i gotowych rozwiązań, a krajowi producenci byli w stanie stworzyć tabor najpełniej dostosowany do budowalnej obecnie infrastruktury".

To obnaża całą opowieść Tuska o nowoczesności, rozwoju i epokowym przedsięwzięciu. Na razie jednak wiedza o manipulacji premiera nie przedarła się szeroko do opinii publicznej, więc górą jest premier. Ma swój moment ogrzewania się przy dużym projekcie.

Kradzież intelektualna

Ostatnie działania premiera nie są przypadkowe. Po przegranych wyborach prezydenckich, zapowiadając nowe otwarcie, szef rządu dokonał próby przejęcia programu Prawa i Sprawiedliwości.

Jako swoje osiągnięcia przedstawił wówczas projekty, które kilkanaście miesięcy wcześniej krytykował: modernizację armii i ogromne zakupy amerykańskiej broni, uszczelnienie granicy z Białorusią z wypychaniem z powrotem imigrantów, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, oraz wprowadzenie 800 plus.

Choć prawda była zgoła inna – w czasie kampanii Donald Tusk kwestionował sensowność tak dużego dozbrajania, imigrantów przysyłanych przez Putina i Łukaszenkę chciał przyjmować bez weryfikacji, a ustawę o 800 plus zaproponował PiS – to lider PO uznał, że tego rodzaju kradzież będzie mu się opłacać. Jeśli dorzucimy to tego postawienie elektrowni atomowych, rozbudowę terminali portowych, to mamy niemal skopiowany plan największych politycznych przeciwników.

Tusk prawdopodobnie zdał sobie sprawę z tego, że stracił zdolność do wyczuwania nastrojów społecznych i samodzielnie nie jest w stanie kreować polityki. Musi więc ogrzewać się programem prawicy, która przez cały czas, mimo oddania władzy i prześladowań, cieszy się społecznym poparciem.

Zamysł był sprytny, ale zawierał jeden zasadniczy feler. Jego rząd nie posiada zdolności i kompetencji do realizowania tak ambitnych programów. Ministrowie, z premierem na czele, nie myślą w kategoriach strategicznego rozwoju państwa, a raczej „ciepłej wody".

Dlatego teraz Donald Tusk tak wiele mówi właśnie o strategii, spokoju, jedności, zgodzie, rozwoju, narodowym interesie i patriotyzmie. Choć to wszystko brzmi w jego ustach wyjątkowo fałszywie, to jednak ma nadzieję, że dzięki temu prawicowa fala, która niewątpliwie nadciąga, nie zmyje go całkowicie ze sceny. A może nawet trochę wyniesie.

RZĄD DONALDA TUSKA STWORZYŁ SPECJALNY ZESPÓŁ PROKURATORÓW ŚCIGAJĄCYCH ŻOŁNIERZY STRZEGĄCYCH GRANICY Z BIAŁORUSIĄ.

eprasa.pl 47f4bae96f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Ruskie drony nad Polską

Moje koleżanki przychodzą do pracy i mówią, że koniec, wojna. Wszystkim nam towarzyszy pytanie, co teraz będzie. Czy odpowiednio wybraliśmy zwierzchnika sił zbrojnych? Czy naprawdę coś się wydarzy? Czy możliwa jest wojna w naszej części Europy za życia naszego pokolenia, czyli osób nieco powyżej czterdziestki?

Wydarzeniom z nocy 9 września towarzyszy celowa dezinformacja, choć nie do końca ją widać, bo przywykliśmy wierzyć, że dyskutant w mediach społecznościowych, jeśli tylko posiada imię, nazwisko i kilka zdjęć profilowych, jest równy nam i „chce tylko wyrazić swoje zdanie". Spod takich klawiatur w ostatnich tygodniach płynęło jednak zastanawiająco wiele opinii, które wskazywały raczej na podtrzymywanie rosyjskiej narracji. Np. o tym, że skoordynowana akcja pojawienia się głęboko na terytorium Polski obcych dronów, ma być akcją zainicjowaną przez Ukrainę, by zemścić się za odebranie 800+ niepracującym na terenie naszego kraju Ukraińcom.

Piszę te słowa z Rumunii, kraju, którego nie dotyczą jeszcze nasze rozterki graniczne, choć sowiecką przeszłość dzielimy podobną. Jak mawia moja 75-letnia mama, „Rusek nigdy słowa prawdy nie powie". Nic zatem dziwnego, że nasze pokolenie, nie mówiąc o starszych, sprawdza wytrzymałość piwnic, kupuje w szale zgrzewki wody i puszki z konserwami, gromadzi gotówkę i wyśmiewane przez wielu plecaki ewakuacyjne, bez względu na swój stosunek do Ukraińców i do przebiegu wojny na ich terytorium. Dokąd jednak będziemy się ewakuować? Czy kraj, który nie był w stanie wcielić nas do ZSRR, zaatakuje nas zbrojnie w takich czasach, jakie mamy, przy obecności NATO i Unii Europejskiej? I czy te ciała będą za nas umierać, a może nas poświęcą?

Z jednej strony, czujemy się tak, jakby nic miało się jednak nie wydarzyć, jakby rzekomy „koniec historii" miał trwać w nieskończoność – a przynajmniej do końca naszych żyć, którym ton nadają Schengen, city breaki i kawa z automatu. Z drugiej strony jednak mamy trochę – a przynajmniej ja mam – wrażenie, jakbyśmy byli bohaterami książki „Ostatnie takie lato" o tygodniach bezpośrednio poprzedzających 1 września 1939 roku, gdy niby wiedziano, ale jednak nie wiedziano. Czekamy, nie wierząc, pełni obaw, a jednocześnie w nadziei, że obronią nas ci, którzy już wielokrotnie nas zawiedli. Sami dławimy, tłumimy i wyśmiewamy własny strach, bagatelizujemy go w rozmowach z innymi. Ale mamy do tego strachu prawo, zwłaszcza że czasu jest coraz mniej.

Tu się urodziłam i tu umrę.

eprasa.pl 47f4bae96f

Bez racji stanu nie ma państwa

Od kiedy w Polsce zrobiło się nieco poważniej, to znaczy – kiedy zaczęliśmy **odczuwać zagrożenia zewnętrzne oraz uświadamiać sobie ograniczenia rozwoju** – w debacie publicznej coraz częściej słychać mało używane przez jakiś czas pojęcie: racja stanu.

Marek Wróbel

Fot. Adobe Stock

Rzadko kto zaprząta sobie głowę, by zastanowić się, co to takiego, tylko od razu przechodzi do ubierania jej w treść: a to racją stanu jest przynależność do Unii Europejskiej, a to wolna Ukraina. Bywa zresztą też, że są to: Ukraina tocząca wieczną wojnę, rozdział Kościoła od państwa, wolności obywatelskie (jak na przykład małżeństwa jednopłciowe) albo prawo do mieszkania. A nawet – to autentyczne przykłady wypowiedzi osób publicznych – nieprzerwane działanie Starlinków, a także podatek cyfrowy.

Można powiedzieć, że każdy ma jakieś wyobrażenie racji stanu, każdy je wizualizuje i racjonalizuje na swój sposób. Powstaje zatem coś w rodzaju jej potocznego, domyślnego rozumienia, które jest niestabilne i partykularne jak nasza debata publiczna. Samo zaś pojęcie jest używane dlatego, że brzmi bardzo poważnie – w sam raz na dzisiejsze, srogie, pełne zagrożeń i niepewności czasy.

To, że pojęcie racji stanu powróciło do debaty, to bardzo dobrze.

Będzie jak znalazł, bo jesteśmy właśnie na początku dyskusji ustrojowej. A dobra dyskusja ustrojowa to nie tylko rozmowa o tym, czy sędziów należy wybierać bezpośrednio, pośrednio, czy też mają sami się replikować. Ani nawet nie tylko o tym, czy posła można odwołać i czy ustrój ma być prezydencki, czy kanclerski. To również debata o wartościach i zasadach, które ma przyszły ustrój uwzględnić. A na ich czele stoi właśnie racja stanu. Ustalmy więc, co to takiego jest.

Można uznać, że racja stanu to najwyższy interes narodu i państwa, ich najważniejsza doczesna wartość. Można też opisać rację stanu jako ostateczny cel istnienia państwa. Jeśli przyjmiemy takie rozumienie, łatwo pojąć, czym różni się od na przykład interesu narodowego. Ten stoi bowiem niżej, nie musi być ani tak trwały, ani

eprasa.pl 47f4bae96f

powszechny jak racja stanu. Ale musi z niej wynikać.

Jakie cechy musi mieć racja stanu?

Po pierwsze, **musi być trwała**. To coś, co musi wytrzymać próbę czasu przez przynajmniej jedno czy dwa pokolenia i nie zależeć od bieżącego kontekstu, zmiennych sojuszów czy sytuacji gospodarczej (czyli właśnie interesów czy strategii narodowych).
Po drugie, **musi być powszechna**. To znaczy, musi określać cel istnienia całości państwa, a nie tylko jego części, nawet największych i najważniejszych.

Uwaga: tu trzeba być ostrożnym. Powszechność racji stanu musi być naprawdę pełna. Czyli należy ją sformułować tak, by zmieścili się w niej dosłownie wszyscy członkowie wspólnoty (no, może poza tymi, którzy świadomie i trwale się z niej wykluczają, na przykład obierając drogę zdrady czy innej zbrodni). W przeciwnym razie otworzymy furtkę dla formułowania doktryn, które znamy w wersji skrajnej, w postaci „życia bezwartościowego", „wrogów ludu" czy „podludzi". Ale także łagodniejszych, „zaledwie" pozostawiających część społeczeństwa na lodzie, bez perspektyw rozwoju i awansu, skazanych na wegetację lub emigrację.
Po trzecie, **musi być osadzona w kontekście, wspólnym doświadczeniu, kulturze i tzw. charakterze narodowym**. Dzięki temu będzie łatwo i bezproblemowo absorbowana i integrowana. Będziemy po prostu dobrze pasować do racji stanu, a ona do nas.
Po czwarte, trzeba mimo wszystko pamiętać, że wprawdzie racja stanu ma być trwała, ale **nie musi być całkowicie i absolutnie niezmienna**. Inna będzie w czasie najgorszych opresji, gdy zagrożony jest biologiczny byt populacji albo gdy państwo upadło, a inna – gdy doskonale prosperujemy i cieszymy się potęgą, wolnością i bogactwem.

Jak wypracować rację stanu?

Można użyć trzech metod: po pierwsze, **poszukiwać jej na zasadzie intuicyjnej**. Po drugie **analizować czynniki, które nam pomagają i szkodzą**. I po trzecie, **znaleźć czynnik pierwotny**, to znaczy taki, który zawsze pojawia się jako warunek osiągnięcia innych celów.

Metoda intuicyjna jest dziś szeroko stosowana w debacie publicznej, a przykłady jej użycia zostały podane na początku niniejszego tekstu. To po prostu to, co się komu w danym momencie wydaje najważniejsze. Ta metoda jest bardzo silnie warunkowana przez osobiste poglądy, poziom wiedzy, doświadczenie i sytuację. I rozmiar horyzontu. A w przypadku ekspertów czy intelektualistów – dodatkowo przez obszar badań, który ich akurat zajmuje. Ten, kto bada zagrożenia technologiczne – będzie przekonywał, że najważniejsza będzie obrona przed sztuczną inteligencją, która nie tylko pozbawi nas pracy, ale jeszcze zyska samoświadomość i uzna, że ludzkość jest nie tylko zbędna, ale i szkodliwa. Inny zajmuje się demografią, więc do racji stanu zechce wpisać dzietność albo imigrację. Ktoś jeszcze inny zaś dostrzeże groźbę ze strony innych cywilizacji (na razie ziemskich), zatrucie środowiska, rozwarstwienie majątkowe czy konsumpcjonizm.

I wszyscy będą mieli rację, przynajmniej w jakiejś mierze, ale trudno je uszeregować i połączyć w jedno. W dodatku w natłoku konkurencyjnych głosów łatwo przeoczyć te mniej donośne, ale być może nie mniej ważne.

Możemy też rozważać czynniki, które w przeszłości i dziś stanowią nasze silne i słabe strony, a następnie sformułować rację stanu jako wspierającą najsilniejsze i/lub zwalczającą te najsłabsze. Kiedy Polska była w najlepszej, a kiedy w najgorszej kondycji? Jakie czynniki prowadziły nas do upadku, a jakie do potęgi i bogactwa?

> MOŻNA UZNAĆ, ŻE RACJA STANU TO NAJWYŻSZY INTERES NARODU I PAŃSTWA, ICH NAJWAŻNIEJSZA DOCZESNA WARTOŚĆ. MOŻNA TEŻ OPISAĆ RACJĘ STANU JAKO OSTATECZNY CEL ISTNIENIA PAŃSTWA.

I takie dyskusje się dziś toczą. Z tym że mają w dużej mierze charakter historyczny. Jak uniknąć liberum veto? Jak uniknąć rozbioru przez III Rzeszę i ZSRS? Jak sprawić, że Konrad nie sprowadzi Zakonu, Zygmunt nie pójdzie na rękę Albrechtowi, a traktaty welawsko-bydgoskie wylądują w koszu przed podpisaniem? Dziś nie ma już Zakonu, nie ma Rzeszy, jesteśmy relatywnie najsilniejsi w stosunku do Niemiec i Rosji od niepamiętnych czasów, na świecie grają już inne mocarstwa i inne zasoby, a kryzysy naszego świata mają już zupełnie

eprasa.pl 47f4bae96f

inny charakter. Jak zastosować do jutrzejszych wyzwań naukę wyciągniętą z przywar XVII-wiecznej szlachty i magnaterii?

Przełożenie doświadczeń na przyszłe kategorie jest oczywiście możliwe i pożyteczne, ale nie może być stosowane dosłownie. Niemniej możemy wyciągać wnioski uniwersalne i trafne, na przykład taki, że myślenie i działanie podmiotowe jest zawsze lepsze od zależnego (chyba że jesteśmy w tak opłakanym stanie, że nie stać nas na podmiotowość). Albo że własna kultura lepiej nam posłuży niż obca (co nie znaczy, że nie należy uczyć się od innych).

Trzecia metoda to poszukiwanie czynnika pierwotnego, praprzyczyny czy też wspólnego mianownika dla podstawowych potrzeb możliwie obiektywnie rozumianych potrzeb jak największej części naszego społeczeństwa. Innymi słowy, odpowiedź na pytanie: co jest niezbędnym warunkiem powodzenia, bezpieczeństwa, szczęścia, wolności i zamożności Polaków? Która z wartości jest najważniejsza?

Na ostatnie pytanie można dość łatwo odpowiedzieć: ta, która warunkuje pozostałe.

Zróbmy proste ćwiczenie: weźmy kilka wartości, które dla różnych ludzi są najważniejsze, i zastanówmy się, w jakich warunkach mogą być realizowane, a w jakich nie. Jeśli jakiś warunek czy wartość będą się powtarzać, możemy przyjąć, że to właśnie jest ta wartość najwyższa, pierwotna wobec pozostałych. Czyli właśnie racja stanu.

JEŚLI JAKIŚ WARUNEK CZY WARTOŚĆ BĘDĄ SIĘ POWTARZAĆ, MOŻEMY PRZYJĄĆ, ŻE TO WŁAŚNIE JEST TA WARTOŚĆ NAJWYŻSZA, PIERWOTNA WOBEC POZOSTAŁYCH. CZYLI WŁAŚNIE RACJA STANU.

Ludzie na ogół na najwyższych miejscach stawiają takie wartości czy potrzeby jak: bezpieczeństwo, wolność, zamożność, rodzina, samorealizacja, przynależność (wymienione w kolejności losowej).

Bez wdawania się w dłuższe analizy, na które nie pozwala objętość tekstu prasowego, można od razu orzec, że wszystkie te potrzeby mają charakter społeczny. Do ich realizacji jest potrzebna wspólnota, która przyjmuje wartości i prawa, a następnie ma siły i zasoby, by ich bronić.

Bezpieczeństwo to uzasadniona pewność stałości sytuacji, pozycji własnej i zbiorowości, zasad i perspektyw. A także życia. Bez wspólnoty nie byłoby bezpieczeństwa.

Wolność to zdolność do podejmowania decyzji o własnym losie i suwerennego wpływania na los zbiorowości. Bez wspólnoty chroniącej tę zdolność żylibyśmy w tyranii (chyba że udałoby się nam przetrwać na odludziu, ale wtedy nasza wolność byłaby ograniczona do tego odludzia, a więc nie byłaby prawdziwą wolnością).

Zamożność, czyli zdolność do zaspokajania niższych i wyższych potrzeb życiowych, także byłaby nie do pomyślenia bez wspólnoty. Zresztą zamożność jest pojęciem względnym – czyli bez porównywania z innymi nawet nie bylibyśmy w stanie określić, czy jesteśmy zamożni.

Rodzina także istnieje w kontekście społecznym. Choćby przez to, że do jej założenia potrzebne są osoby spoza niej, a z rodzin składają się wspólnoty wyższego rzędu.

Samorealizacja, choć może wydawać się wartością najbardziej wsobną i egoistyczną spośród wymienionych, także może dokonywać się tylko we wspólnocie.

A potrzeba przynależności sama się definiuje przez wspólnotę.

A więc to jest racja stanu!

Posługując się opisanymi metodami, dochodzimy do określenia polskiej racji stanu na najbliższe dziesięciolecia. Jak zatem powinno brzmieć najwyższe prawo Rzeczypospolitej? Następująco: „Racją stanu i celem Rzeczypospolitej Polskiej jest wieczne trwanie i wieloaspektowy oraz zrównoważony rozwój polskiej, podmiotowej wspólnoty kulturowej i politycznej”.

Wieczne trwanie oznacza tyle, że polska wspólnota ma nie mieć daty ważności ani ostatecznego horyzontu. Oznacza dążenie do bezpieczeństwa, stabilności i rozwoju. Natomiast nie oznacza niezmienności. Ewoluujemy, rozwijamy się, zmieniamy, i jest to normalne. Natomiast stale i wiecznie tworzymy wspólnotę Polaków, przekazując naszą kulturę i dorobek kolejnym pokoleniom.

Państwo jest także po to, by zapewniać, chronić i napędzać rozwój. Wieloaspektowy oznacza, że wspólnota ma się rozwijać na wielu polach

eprasa.pl 47f4bae96f

– nie tylko gospodarczym, infrastrukturalnym czy technologicznym, ale także cywilizacji, kultury, aktywności obywatelskiej, wykształcenia i możliwości awansu, poczucia wspólnoty i bezpieczeństwa w każdym wymiarze. Natomiast postulat zrównoważonego rozwoju oznacza, że rozwój ma mieć charakter równomierny, a wszyscy członkowie wspólnoty mają z niego korzystać.

Pojęcie podmiotowej wspólnoty oznacza tyle, że ma ona być zdolna do podejmowania decyzji o sobie, czyli kształtowania swojego losu. Faktyczna zaś zdolność to możliwości kulturowe, społeczne, polityczne, geopolityczne, militarne, materialne, finansowe i technologiczne – wraz z wolą i determinacją, by decydować o własnym losie.

Wspólnota kulturowa to zbiorowość o wspólnym języku, kulturze, tradycji i wartościach (jeśli mówimy o wspólnocie polskiej, bo inne mogą opierać się na czym innym). I przede wszystkim – o wspólnej, silnej i uświadomionej tożsamości. A polityczna – to zbiorowość o wspólnym interesie, połączona świadomością o wspólnym losie i zorganizowana w powszechnie akceptowany system polityczny, społeczny i gospodarczy, który sama z własnej woli przyjęła.

Aspekty praktyczne

Tak sformułowana racja stanu powinna znaleźć się w nowej konstytucji jako jeden z jej pierwszych lub po prostu pierwszy artykuł (dzisiejsza nie zawiera wyrażonego wprost i w sposób normatywny określenia celu istnienia państwa polskiego!). A także utrwalić się w debacie publicznej, zostać przyjęta jako oczywistość i podstawa wszelkich dyskusji o przyszłych losach Polski i Polaków.

Pozwoli to uporządkować zarówno debatę, jak i system prawny, który zyska solidniejszy niż dziś fundament.

Mocne osadzenie racji stanu i wynikających z niej wartości oraz zasad (to temat na osobne opracowanie) będzie pełnić cały szereg funkcji praktycznych.

Między innymi: normatywną (będzie podstawą dla praw i polityk), kontrolną (będzie można na jej podstawie oceniać i rozliczać działania władz), kierunkująco-blokującą (czyli wymuszającą pewne paradygmaty działania, na przykład w kierunku zachowania i wzmacniania suwerenności i podmiotowości), wspólnototwórczą (to znaczy, że na jej podstawie będzie można budować instytucje i postawy obywatelskie) czy edukacyjno-wychowawczą.

Dobrze sformułowana i osadzona w powszechnej świadomości oraz systemie prawnym racja stanu sprawi, że dużo łatwiej będzie nam określić kierunki, cele i sens istnienia państwa. A jeśli ktoś ma wątpliwości, czy warto mieć własne państwo, będzie mógł się ich pozbyć raz na zawsze.

„RACJĄ STANU I CELEM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ JEST WIECZNE TRWANIE I WIELOASPEKTOWY ORAZ ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ POLSKIEJ, PODMIOTOWEJ WSPÓLNOTY KULTUROWEJ I POLITYCZNEJ”.

WDZIĘCZNOŚĆ MICHALSKI

eprasa.pl 47f4bae96f

Nocny toast za Warszawę

Krzysztof Karnkowski

Przebieg obrad Rady Warszawy, podczas których rozstrzygnąć miała się kwestia wprowadzenia nocnego zakazu sprzedaży alkoholu, **okazał się wydarzeniem ogólnopolskim**. Skąd tak wielkie zainteresowanie tym tematem? Już na wiele dni przed terminem sesji Rady było wiadomo, że wokół propozycji prezydenta Rafała Trzaskowskiego dzieje się coś bardzo dziwnego. Na kwestię z pogranicza przepisów, bezpieczeństwa i obyczajów nałożyła się potężna intryga polityczna, której rozmiarów wciąż nie znamy, lecz jej przyczyn i znaczenia możemy się co najwyżej domyślać. Tak samo jak jej kosztów dla poszczególnych uczestników.

eprasa.pl 47f4bae96f

Fot. T. Gutry

W grudniu 2000 roku ukazała się płyta „A pudle?" efemerycznej formacji El Dópa, współtworzonej m.in. przez Krzysztofa Radzimskiego z zespołu TPN 25 i Kazika Staszewskiego z Kultu. W roku następnym, jako drugi singiel promujący to wydawnictwo, pojawiła się w mediach piosenka „Prohibition". Całość tekstu była bezkompromisową krytyką warszawskich samorządowców ery Pawła Piskorskiego, natomiast tłem jej powstania była krótkotrwała prohibicja, którą włodarze polskich miast wprowadzali, gdy z pielgrzymką do kraju przybywał Jan Paweł II. Jednak 25 lat później to właśnie warszawscy radni powtórzyli za Kazikiem „We don't want no prohibition in a Warsaw".

Coraz dłuższa lista

W ostatnich latach wiele miast w Polsce wprowadziło ograniczenia w nocnej sprzedaży alkoholu, jednak w żadnym z nich nie dochodziło do tak gorszących scen, które działy się w stolicy. Od 2018 roku alkoholu po 22 nie mogą w sklepach kupić mieszkańcy Olsztyna. Podobne ograniczenia na terenie całego miasta wprowadzono w kolejnych latach w Bydgoszczy i Krakowie, a także w wielu innych średnich i mniejszych miejscowościach. Inne, jak Gdańsk (od 1 września tego roku), Katowice, Poznań, Rzeszów czy Wrocław, zdecydowały się na zakazy obejmujące wybrane dzielnice. Według statystyk z czerwca ubiegłego roku przygotowanych przez Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom całkowity nocny zakaz wprowadziło 146 gmin, kolejnych 30 zdecydowało się na wersję ograniczoną terytorialnie. Zdarzyło się też kilkanaście przypadków późniejszej rezygnacji lub unieważnienia decyzji przez wojewodów lub Naczelny Sąd Administracyjny. W 2023 roku na nocny zakaz sprzedaży zdecydował się Kraków, drugie co do wielkości miasto w Polsce. Kraków jest ważny w naszej opowieści, ponieważ to tam dość skrupulatnie przebadano skutki funkcjonowania nowych przepisów. Obowiązujący tam zakaz jest jednym z łagodniejszych, obowiązuje bowiem tylko od północy do 5.30 (w Olsztynie od 22). Władze miasta chwalą się znaczącą poprawą statystyk zanotowaną między drugim półroczem 2022 i 2023 roku. W lipcu i sierpniu 2023 roku straż miejska odnotowała o 45,21 proc. mniej zgłoszeń związanych ze spożyciem alkoholu w godzinach nocnych w porównaniu do wakacji '22. W samym lipcu liczba zgłoszeń spadła o 54,22 proc. Statystyki za całe półrocze są mniej imponujące, lecz wciąż budujące: od lipca do grudnia 2023 roku

eprasa.pl 47f4bae96f

liczba zgłoszeń przyjętych przez straż miejską spadła o 28,84 proc., a liczba ujawnionych wykroczeń – o 39,86 proc. mniej niż rok wcześniej. Dość zaskakujące są dane z Konina, w którym również wprowadzono kilka miesięcy temu ograniczenia. Tu zmniejszyła się liczba… interwencji domowych (124 od lutego do czerwca tego roku przy ponad 400 rok wcześniej), natomiast ogólna liczba zgłoszeń spadła jedynie o 4%.

Wydumany problem?

Nie wszyscy jednak uważają podobne dane za argument za wprowadzaniem zakazów. Na stronie Warsaw Enterprise Institute, organizacji sprzeciwiającej się wprowadzaniu nowych ograniczeń, znajdziemy komentarz eksperta WEI Piotra Palutkiewicza, który na antenie Polsatu zwracał uwagę na szerszy kontekst. – Mamy oczywiście dane z miast, które wprowadziły prohibicję, mówiące, że liczba interwencji w nocy spadła, ale jeśli spojrzymy na Warszawę, Gdańsk, Częstochowę, czyli miasta, w których tego nocnego zakazu nie ma, okazuje się, że tam także spada liczba interwencji. Oznacza to, że nie jest to efekt wprowadzenia zakazu sprzedaży alkoholu nocą, a tego, że po prostu w Polsce żyje się bezpieczniej – mówił. WEI kwestionuje też zasadność obostrzeń, wskazując na fakt, że wbrew stereotypom Polacy nie są wcale w alkoholowej czołówce Unii Europejskiej, zarówno jeśli chodzi o ilość wypijanego alkoholu, jak i liczbę osób zmagających się z uzależnieniem. Zwolennicy zakazów uważają natomiast spożycie i nadużycie za wciąż poważny problem, źródło wszelakich nieszczęść i, zwłaszcza w przypadku sprzedaży nocnej, zagrożenie dla porządku publicznego i spokoju mieszkańców bezpośredniego sąsiedztwa sklepów. I – dodam od siebie – szlaków prowadzących do „wodopoju". Jednak i na to znajdują się kontrargumenty. Jak w jednym z ostatnich wideofelietonów mówił Rafał Ziemkiewicz – gdyby miejskie służby skutecznie potrafiły egzekwować zakaz spożywania alkoholu w miejscach publicznych, nie byłby potrzebny kolejny przepis, który znów okaże się martwy. To jednak łatwo zweryfikować, ponieważ w miejscowościach, w których mamy już nocną prohibicję (pamiętajmy, że określenia tego używa się mocno na wyrost, bo przecież serwowania napojów alkoholowych w lokalach nikt nie zabrania), przepisy są egzekwowane bardzo stanowczo. Kto nie wierzy, niech zajrzy do olsztyńskiej Żabki o – powiedzmy – 21.58.

Za a nawet przeciw

W Warszawie, głównie za sprawą ruchów miejskich takich jak Miasto Jest Nasze czy Wolne Miasto Warszawa Jana Śpiewaka, temat nocnego zakazu sprzedaży alkoholu obecny był od kilku lat, jednak konkretne kształty zaczął przybierać niedawno. W 2023 roku pojawił się pierwszy społeczny projekt przygotowany przez aktywistów. Sprawa nie miała dalszego ciągu, ale to nie znaczy, że nic się w niej nie działo. Zaczęło mówić się o wprowadzeniu zakazu handlu alkoholem od godziny 23. Krytycy prezydenta wybór tej godziny łączyli z faktem, że jest to standardowa pora zamknięcia dla większości sklepów Żabki, a Żabka sponsorowała organizowany przez prezydenta warszawy Kampus Polska Przyszłości. Późną wiosną 2024 roku za pośrednictwem strony Urzędu Miasta rozpoczęły się konsultacje społeczne. Internetową ankietę wypełniło niewiele ponad 8 tysięcy osób (co jest dość mocnym argumentem przeciwników), ale spośród nich ponad 80% ograniczenia poparło (co jest mocnym argumentem zwolenników). Prawie wszyscy z tej drugiej, większościowej grupy opowiedzieli się za objęciem nocnym embargiem całego miasta, bez podziału na dzielnice mniejszego i większego ryzyka. W lutym 2025 roku uchwała, tym razem zgłoszona przez prezydenta, została nagle i niespodziewanie zdjęta z porządku obrad. Wtedy pojawiła się koncepcja, by o prohibicję zapytać radnych poszczególnych dzielnic. Lecz choć pomysł pochodził od wywodzącego się z Platformy i będącego jej kandydatem na głowę państwa prezydenta Rafała Trzaskowskiego, aż 14 z 18 dzielnic opowiedziało się przeciw ograniczeniom. Co więcej, choć gorącym orędownikiem pomysłu był warszawski komendant policji Dariusz Walichnowski, przeciw opowiedziała się Komisja Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego Rady Warszawy. Zachowanie dzielnic zaczęło budzić zainteresowanie dziennikarzy politycznych, tak jawna wolta przeciw Rafałowi Trzaskowskiemu zaczęła wyglądać na coś poważniejszego niż zwykłe samorządowe nieporozumienie. Dość szybko jako odpowiedzianego za ten stan rzeczy komentatorzy zaczęli wskazywać Marcina Kierwińskiego, szybko też znaleźli domniemaną przyczynę tego stanu. Gdy Kierwiński popadł w partyjną niełaskę, żyjący z nim dotąd zgodnie Trzaskowski miał zacząć dość szybko pozbywać się z ratusza jego ludzi. Jak wiemy, w polityce nie ma nic stałego. Marcin Kierwiński wrócił

> 25 LAT PÓŹNIEJ TO WŁAŚNIE WARSZAWSCY RADNI POWTÓRZYLI ZA KAZIKIEM „WE DON'T WANT NO PROHIBITION IN A WARSAW".

eprasa.pl 47f4bae96f

do łask i zaczął wykorzystywać swoje wpływy w warszawskiej PO, by odegrać się na Trzaskowskim, osłabionym przecież i tak po wyborach prezydenckich.

Alkokompromitacja

18 września pod obrady Rady Miasta trafiły dwa projekty – prezydencki, z zakazem od godziny 23, i społeczny, w którym szlaban miałby obowiązywać już od 22. Nim w ogóle rozpoczęło się posiedzenie, na sali doszło do pierwszych nieporozumień. Gdy przedstawiciele mieszkańców przybyli na miejsce obrad, okazało się, że przewidziane dla nich miejsca są już zajęte przez dzielnicowych radnych i działaczy Platformy wzywanych na miejsce SMS-owo przez partyjną centralę. Chwile potem okazało się, że prezydent, na miejscu zresztą w ogóle nieobecny, wycofuje swój projekt. W efekcie platformerska większość w Radzie przyjęła projekt zakładający jedynie pilotażowe ograniczenie sprzedaży alkoholu w nocy na obszarze dwóch dzielnic: Śródmieścia i Pragi Północ. Oczywiście już na miejscu spotkało się to z bardzo negatywną reakcją lewicy, w tym obecnych również na posiedzeniu działaczy Razem. – To, co robicie w ramach rozgrywek w Koalicji Obywatelskiej i czołgania Rafała Trzaskowskiego, jest nie w porządku wobec mieszkańców. Rozmawiamy o bezpieczeństwie mieszkańców, ale zamknięcie się w twierdzy przez KO będzie skuteczne tylko do pewnego momentu. Tym momentem będą najbliższe wybory – ostrzegał Adrian Zandberg. Odpowiedzialny za sprawy społeczne i pilotujący projekt wiceprezydent Jacek Wiślicki z Polski 2050 podał się do dymisji, natomiast sam Trzaskowski w mediach społecznościowych nową uchwałę ogłosił sukcesem i krokiem w dobrym kierunku. Sprawa jest jednak bardzo niejednoznaczna. Zanim skupimy się na jej politycznym wymiarze przywołanym przez Zandberga, popatrzmy na ewentualne koszty. Te społeczne już znamy, jeśli bierzemy na poważnie stanowisko policji czy lekarzy, o aktywistach nie wspominając. Widać jednak rozjechanie się radnych PO z nastrojami elektoratu. Wzburzone są media, TVN na facebookowych grupach mieszkańców szuka ludzi do reportażu o niezadowolonych sąsiadach sklepów nocnych. Radni odwołują się do retoryki wolnościowej, a Kierwiński w nieoficjalnych wypowiedziach robi z siebie wręcz bojownika walczącego z „lewactwem". Nastawienie elektoratu chyba dobrze oddaje jednak wpis Jakuba Żulczyka na portalu X. „Postawa warszawskich radnych PO jest zwyczajnie skandaliczna. Zachowujecie się jak wrogowie Waszego własnego miasta – oskarża pisarz. „Wiecie doskonale, jak nocne obostrzenia sprzedaży alkoholu wpływają na ilość wypadków, przestępstw, na kolejki na SOR. Mimo to tępo tkwicie przy fałszywie pojmowanej «wolności», bojąc się o własne dupy i stołki. Nie tłumaczycie ludziom, że postulowane obostrzenie nie dotyczy restauracji i klubów, tylko stacji i sklepów. Wiecie czego chcą mieszkańcy, widzieliście konsultacje społeczne. Warszawa Wam za to podziękuje. Hańba".

Wielki kac

Poza arogancją wobec mieszkańców zobaczyliśmy również wielką słabość i osamotnienie Rafała Trzaskowskiego. Prezydenta, który nie może niczego załatwić w swoim mieście, w którym pięć lat temu próbował decydować nawet o tym, jaką muzykę mają grać DJ-e, gdy znajdzie się akurat w ich lokalu. I wiceprzewodniczącego Platformy Obywatelskiej, który jest bezsilny w starciu z Marcinem Kierwińskim i jego człowiekiem w warszawskiej Platformie Jarosławem Szostakowskim. Według wielu komentatorów nie mogłoby się to zdarzyć, a przynajmniej – nie w takim stopniu, bez wiedzy i zgody Donalda Tuska. Czy to tylko kara za przegraną, czy też atak z powodu dostrzeganych przez część polityków prób tworzenia sobie nowego zaplecza poprzez nadchodzący nowy kampus, objęcie władzy w ruchu samorządowców „Tak! Dla Polski", a może nawet zakulisowe kontakty z Szymonem Hołownią? O to wszystko ostatnio oskarżają prezydenta Trzaskowskiego szukający wrogów we własnym obozie komentatorzy, sympatyzujący z Giertychem i Sikorskim. Warszawiacy wzięci na zakładników w partyjnej wojence zapewne ostatecznie na swoją ulubiona partię się nie obrażą, jeśli jednak Trzaskowski faktycznie rozważa bardziej zdecydowane ruchy, wydarzenia w Radzie mogą przyspieszyć jego decyzję. Jego sytuacje dodatkowo komplikuje niespodziewane wszczęcie przez prokuraturę śledztwa w sprawie nielegalnego finansowania jego kampanii. Czyżby Trzaskowski w scenariuszu Tuska podzielić miał los Wojciecha Kozaka, zapomnianego prezydenta stolicy przed laty porzuconego przez Platformę?

W OSTATNICH LATACH WIELE MIAST W POLSCE WPROWADZIŁO OGRANICZENIA W NOCNEJ SPRZEDAŻY ALKOHOLU, JEDNAK W ŻADNYM Z NICH NIE DOCHODZIŁO DO TAK GORSZĄCYCH SCEN, JAKIE DZIAŁY SIĘ W STOLICY.

eprasa.pl 47f4bae96f

Drony a infowojna

W chaosie informacyjnym opinia publiczna **nie szuka** de facto prawdziwości informacji, tylko potwierdzenia narracji i opinii o jakimś zdarzeniu podanym im przez własną bańkę medialną i środowisko polityczne, mając często świadomość, że to kłamstwo.

Jakub Pacan

Rój dronów, które wtargnęły w naszą przestrzeń powietrzną, nie spowodował strat materialnych, oprócz zniszczonego dachu domu w Wyrykach (efekt zestrzeliwania dronów), lecz kosztował ogromne straty w przestrzeni informacyjnej. Eksperci ds. wojskowości są zgodni – te obiekty latające zostały wypuszczone do Polski po to, by sprawdzić nasze systemy przeciwlotnicze, gotowość do odpierania ataków, możliwości zestrzeliwania i reakcje NATO oraz armii sojuszniczych na tego typu ataki. Jednak Rosjanie dostali jeszcze jedną ważną informację – w Polsce bardzo łatwo wywołać panikę informacyjną oraz chaos i mgłę informacyjną. Wszystkie te hasła mają swoje definicje w nauce o bezpieczeństwie i są integralną częścią działań hybrydowych, w której Rosjanie mają duże doświadczenie.

Informacja jest bronią

Po pierwszych doniesieniach o dronach znalezionych na terytorium Polski internet został zalany informacjami, że to ukraińska prowokacja mająca na celu wciągnięcie Polski do wojny. Zaraz też pojawili się różnej maści eksperci, wśród nich Janusz Korwin-Mikke, którzy obliczali, ile kilometrów owe drony musiałyby pokonać, by przelecieć nad Ukrainą do Polski. Bardzo często wychodziło im, że wypuszczone one zostały z zachodniej Ukrainy, z okolic Łucka na Wołyniu, co też ma działać na wrażliwość i wyobraźnię Polaków. Dość szybko zaczęła upowszechniać się wielokrotnie powielana informacja oparta na fałszywym założeniu, że drony typu Gerber nie mogły wystartować z Rosji, gdyż ich zasięg wynosi około 500 km.

Politycy Konfederacji Korony Polskiej oraz komentatorzy mówiący o ukraińskiej prowokacji mieli tysiące odsłon i „lajków" w mediach społecznościowych. Komentarze pod ich wpisami dotyczącymi dronów to też wielce pouczająca lektura.

Akcja z dronami ściśle skoordynowana z działaniami dezinformacyjnymi służb rosyjskich i biało-

eprasa.pl 47f4bae96f

ruskich przyniosła efekt w postaci wywołania w Polsce chaosu i stresu informacyjnego. „Stres informacyjny powstaje wskutek nierównowagi między napływającymi informacjami a możliwościami ich przetworzenia przez jednostkę, obciąża jego uwagę i pamięć, doprowadzając do utraty kontroli poznawczej i metapoznawczej, towarzyszy podmiotowi na wszystkich etapach przetwarzania danych. Stres informacyjny (technostres) powoduje utratę poczucia kontroli, jest przyczyną lęku informacyjnego związanego z brakiem dostępu, zrozumienia i zrobienia pożytku z potrzebnej nam informacji" – czytamy w „Vademecum bezpieczeństwa informacyjnego".

Owemu stresowi towarzyszyło inne zjawisko znane z działań dezinformacyjnych – mgła informacyjna, czyli sytuacja, gdy nadmierna ilości informacji, często sprzecznych i nieuporządkowanych, występuje obok informacji prawdziwych i zweryfikowanych. Wtedy często ludzie się poddają, przestają śledzić, co się dzieje, lub poddają się jednej z narracji.

Fot. Adobe Stock

Wojna wszystkich ze wszystkimi

Efekt roju sprzecznych informacji był taki, że o drony w Polsce zaczęli się kłócić wszyscy ze wszystkimi. Jedne bańki medialne wyciągnęły szable przeciw drugim. KO przeciw PiS, Donald Tusk przeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu osobiście. „W PiS i Konfederacji trwa dyskusja, czy drony to prowokacja Ukrainy, polskiego rządu, czy pomyłka. Wbrew temu, co mówią polskie służby, wojsko, prezydent i premier. Stają na głowie, by zdjąć z Rosji odpowiedzialność za atak 10 września. Wyobraźmy sobie ich rządy w wypadku agresji" – napisał na platformie X szef polskiego rządu Donald Tusk. To dziwne, ponieważ Jarosław Kaczyński wielokrotnie podkreślał w wystąpieniach publicznych, że to drony rosyjskie. Doszło nawet do tego, że Krzysztof Bosak w „Rozmowie Piaseckiego" w TVN24 odciął się od swoich partyjnych kolegów Konrada Berkowicza i Ewy Zajączkowskiej-Hernik, a nawet podkreślił, że nie ma pretensji do Ukraińców, że nie zestrzelili tych dronów na swoim terytorium, ponieważ mają wojnę i nie są w stanie zestrzeliwać wszystkiego, co nadlatuje z Rosji.

W końcu na oficjalnych stronach rządowych pojawiły się komunikaty – „Główne linie narracyjne dezinformacji zidentyfikowane przez Ośrodek Analizy Dezinformacji NASK". Warto pokrótce je przedstawić. A więc: państwo nie ostrzega obywateli o zagrożeniu; Ukraińcy wciągają Polskę w wojnę; polskie wojsko nie jest przygotowane do obrony kraju; rząd chce zrzucić odpowiedzialność za obronę kraju na NATO; Rosja nie odpowiada za atak, ponieważ nie ma w nim żadnego interesu. Niszczenie dronów przez Wojsko Polskie to osłabianie zdolności obronnych. Polska jest w stanie wojny z Rosją. Ukraińcy mszczą się na Polakach za wypowiedź Karola Nawrockiego o tym, że Polska nie wyśle wojska na terytorium wojny.

I o to właśnie Rosjanom chodzi. Publiczne kłótnie, zarzucanie sobie kłamstw, wiara we własne przekazy i narracje często wbrew faktom, za to zgodne z doktryną własnej bańki medialnej zbiegają się w końcu w jednym punkcie: podważa się powagę państwa polskiego, odbiera przekonanie o jego sprawczości i gotowości obrony własnych obywateli przez instytucje i służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo. Utrata wiary Polaków we własne państwo, ośmieszanie go przez własnych obywateli – to jest cel Rosjan. To demoralizujące dla morale i gotowości obrony Polski oraz gotowości ponoszenia kosztów osobistych w celu obrony ojczyzny.

EFEKT ROJU DRONÓW NAD POLSKĄ BYŁ TAKI, ŻE O DRONY W POLSCE ZACZĘLI SIĘ KŁÓCIĆ WSZYSCY ZE WSZYSTKIMI. I O TO CHODZI ROSJANOM.

Lenin wiecznie żywy

Sprawdzają się tutaj dwie zasadnicze tezy Lenina. Pierwsza: ludzie lubią być okłamywani. Druga: im większe i bardziej bezczelne kłamstwo, tym łatwiej wciskać je ludziom. Dzieje się tak, ponieważ dysonans poznawczy wywołany rażącymi

eprasa.pl 47f4bae96f

sprzecznościami jest tak ogromny, że na dłuższą metę trudno go dźwigać, często w pojedynkę, bo inni już wcześniej się poddali tresurze, dali złamać kłamstwu i teraz ich psychika pracuje na to, by uprawomocniać i usprawiedliwiać to kłamstwo w sobie. Tak to działa.

Dochodzi do tego podział działający od zawsze na „my – oni" – bardzo wygodny dla partyjnych liderów, bo ułatwiający samoidentyfikację, pozwalający się skupić pod wspólnym sztandarem i wyraziście nakreślający granice między „naszością", a obcym i wrogim. Identyfikujemy się przez to, co sami wykluczamy. Niestety te partyjne w polskim wydaniu zasady przenosimy niemal jeden do jednego na poziom bezpieczeństwa wspólnego, na kwestie fundamentalne dla istnienia państwa i nas samych. I o ile trudno mieć pretensje do ludzi na co dzień nie zajmujących się kuchnią polityczną od środka, o tyle w wydaniu polityków to niebezpieczne i nieodpowiedzialne.

W chaosie informacyjnym i przebodźcowaniu wiadomościami społeczeństwo, opinia publiczna nie szukają de facto prawdziwości informacji, tylko potwierdzenia narracji i opinii o jakimś zdarzeniu podanym im przez własną bańkę medialną i środowisko polityczne. Lenin, ten geniusz zła, z którego rosyjska tradycja polityczna czerpie do dzisiaj miał niestety rację. Przyrodzone cechy naszego mózgu, takie jak chęć przebywania w strefie komfortu i lenistwo, powodują, że wybieramy to, co znane bywa, ze świadomością, że to kłamstwo, ponieważ nas mniej kosztuje.

„STRES INFORMACYJNY (TECHNOSTRES) POWODUJE UTRATĘ POCZUCIA KONTROLI, JEST PRZYCZYNĄ LĘKU INFORMACYJNEGO ZWIĄZANEGO Z BRAKIEM DOSTĘPU, ZROZUMIENIA I ZROBIENIA POŻYTKU Z POTRZEBNEJ NAM INFORMACJI".

UTRATA WIARY POLAKÓW WE WŁASNE PAŃSTWO, OŚMIESZANIE GO PRZEZ WŁASNYCH OBYWATELI, TO JEST CEL ROSJAN. TO DEMORALIZUJĄCE DLA MORALE I GOTOWOŚCI OBRONY POLSKI.

Specjaliści od propagandy, działań hybrydowych i wojny informacyjnej zbierają teraz wielkie żniwa do uprawdopodobniania swoich wersji.

Mało kto dzisiaj pamięta, że kiedy globalna sieć informacyjna była nowością wielu politologów, ekspertów nauk politycznych, medioznawców uwierzyło, że dzięki temu kłamstwa władzy będą już o wiele trudniejsze, ponieważ ludzie uzbrojeni w wiele wiarygodnych źródeł sami będą obalać mity, selekcjonować informacje i nadawać im odpowiedni kontekst i rangę.

Niestety stało się inaczej. Internet podsuwa ludziom potwierdzenie własnych przekonań czy nawet teorii spiskowych w postaci dziesiątek tysięcy stron okraszonych opiniami różnego rodzaju ekspertów z tytułami naukowymi. Internet ułatwia propagowanie szalonych teorii czy jawnych kłamstw nie tylko dlatego, że można znaleźć w nim informacje na dany temat. Internet zdejmuje stygmat wariata oraz poczucie winy i wstydu z kogoś, kto wyznaje niebezpieczne bądź nieakceptowalne społecznie idee.

Przykład? Sporo ludzi w Europie i niestety w Polsce wierzy, że Putin jest Katechonem i obrońcą konserwatywnych wartości, że jest jedną z ostatnich nadziei na obronę przed rewolucją obyczajową. W sieci znajdą niestety tysiące stron, które zabetonują w nich to przekonanie. Za sprawą internetu renesans przeżywają także teorie o ufo.

Umiejętność poruszania się w chaosie informacyjnym to wyzwanie nowe, przed którym nikt z naszych poprzedników nie miał do czynienia. Polakom prościej o tyle, że przez 45 lat PRL mocno się wyczulili na płynącą z Rosji komunistyczną propagandę. Teraz czas na kolejne wyzwanie.

eprasa.pl 47f4bae96f

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Wylać dziecko z kąpielą

Jan Wróbel

Zapowiada się frekwencyjna porażka edukacji zdrowotnej w szkołach podstawowych. Hurra? Spora część dzieci polskich otrzyma przedmiot niedoskonały, a znaczna część – żaden. Owszem, niektóre z treści (głównie z biologii oraz tzw. relacji społecznych) uratowały się, bo zostały w tradycyjnie uczonych przedmiotach. Bardzo wiele treści pojawi się jednak tylko w nauczaniu dzieci, których rodzice nie wypisali z „przedmiotu Nowackiej". Niech się rodzice zajmują zagrożeniami płynącymi ze smoczej jamy cyberprzestrzeni. Albo nauką o uzależnieniach.

Głównym problemem współczesnej szkoły podstawowej jest emocjonalny stan młodego pokolenia. Rozedrgani, szybcy w stadnych atakach, nadwrażliwi, z ogromnym trudem koncentrujący się na zadaniu, wtopieni w komórki... Ileż to razy tego typu charakterystykę słychać z ust nauczycielek i nauczycieli pracujących z dzieciakami! A dodajmy do tego rosnącą liczbę dzieci z tzw. orzeczeniami oraz dzieci, których rodzice usilnie i ze szkodą dla dziecka starają się, by takiego orzeczenia nie było... „Edukacja zdrowotna" jest jakąś próbą wyjścia naprzeciw boleśnie realnym problemom. Próbą niedoskonałą, a rozpoczętą od projektu mocno zideologizowanego: „Jak wy nam Czarnkiem, to my wam EZ". Potem projekt ten złagodzono. Uważałem i uważam, że lepiej dalej pracować nad tym projektem, kiedy już będzie wprowadzany w szkołach, niż go zepchnąć na margines szkolnej rzeczywistości.

Na takie postawienie sprawy pada chwytający za serce argument: a czemu niby moje dziecko ma stać się ofiarą eksperymentu? Odpowiadam: historia w szkole, przedmiot bardziej nawet dotykający światopoglądu niż edukacja zdrowotna, jest od wielu lat nauczana w ramach eksperymentu. Jest to eksperyment uczenia tego przedmiotu tak jak 20, 40 i 60 lat temu. Dużo faktów, mało ich wiązania w czytelną dla ucznia całość, sporo dat i nazwisk. Rezultat znamy: słaba znajomość historii i powszechne przekonanie, że to przedmiot zabójczo trudny i mało ciekawy (historia!). I jakoś nam ten „eksperyment na dzieciach" nie przeszkadza... Język polski? Jeszcze bardziej światopoglądowo unurzany, wymagający tej akurat umiejętności, której uczniowie w swej masie nie nabywają – przeżywania literatury. Przedziwny eksperyment z ludźmi gonionymi do niepojętej dla nich czynności. Jakoś nikt nie wpadł, by historia i polski były przedmiotami, na które uczęszczać można tylko za zgodą rodziców.

JAKOŚ NIKT NIE WPADŁ, BY HISTORIA I POLSKI BYŁY PRZEDMIOTAMI, NA KTÓRE UCZĘSZCZAĆ MOŻNA TYLKO ZA ZGODĄ RODZICÓW.

Na pewno życzyć sobie należy perfekcyjnie przygotowanego i nauczanego przedmiotu omawiającego zdrowie pokolenia, które cierpi na przeróżne deficyty. Praktyka życia szkolnego pokazuje jednak, że nigdy tak dobrze nie będzie z żadnym przedmiotem. Lepiej mieć niedoskonały i stale go monitorując, poprawiać, niż wylać dziecko z kąpielą, co właśnie robimy.

eprasa.pl 47f4bae96f

Mainstream na wojnie ze Stanowskim

Spór między Dorotą Wysocką-Schnepf a Krzysztofem Stanowskim to kolejna odsłona długiego konfliktu między twórcą Kanału Zero i liberalnym medialnym mainstreamem. W tym obrazie zarówno wyjątkowa pozycja Stanowskiego na rynku medialnym, jak i niechęć do niego ze strony większości tradycyjnych mediów **mówią wiele** o rzeczywistości medialnej, w której żyjemy.

Marek Nowak

Konflikt między dziennikarką TVP a Krzysztofem Stanowskim rozpoczął się jeszcze, kiedy twórca Kanału Zero kandydował w tegorocznych wyborach prezydenckich. Po słynnej awanturze podczas jednej z debat prezydenckich przeniósł się on do mediów społecznościowych, gdzie obie strony nie szczędziły sobie mniej lub bardziej finezyjnych złośliwości. Niedawno spór ten nabrał nowego wymiaru. Wysocka-Schnepf zapowiedziała pozwanie Stanowskiego oraz dziennikarza Roberta Mazurka, którzy podczas jednego z programów w Kanale Zero wypomnieli jej nadanie imienia synowi po teściu, komunistycznym zbrodniarzu uczestniczącym w obławie augustowskiej. „Długo znosiłam łgarstwa i nagonkę na moją rodzinę. Szkoda czasu na hejterów i pozwy. Ale piętnowanie 14-latka?! Podłe. Mało wam dzieci zaszczutych wskutek polowania na ich rodziców? Spotykamy się w sądzie. My, dorośli, uodporniliśmy się na ataki. Ale cierpię, gdy mój synek drży, chce uciekać z Polski, boi się tu żyć. Patostreamerzy muszą za to przeprosić. I zapłacić. Niech zaboli. Choć strat moralnych to nie wyrówna. Ale może coś zrozumieją?" – napisała na platformie X. Twórca Kanału Zero bronił się, że informację o imieniu dziecka wziął z Wikipedii, więc była ona ogólnie dostępna. Co więcej, Stanowski twierdzi, że treść samego pozwu nie do końca pokrywa się z tym, co pisała składająca go dziennikarka. „Cóż, pismo pani Doroty – w którym zresztą ucieka się do kłamstw – to głównie walka o dobre imię tego starszego Maksymiliana, którego nie należy łączyć ze zbrodniami komunistycznymi, bo jego udział w Obławie Augustowskiej był jedynie pomocniczy" – napisał na platformie X. – Od dawna uwieram cały ten pseudodziennikarski salon i od dawna padam ofiarą kłamstw, insynuacji i pomówień. Ale jak dotąd nikt nigdy nie zagrał tak niską kartą – kartą własnego dziecka, które ja rzekomo hejtowałem. A wszystko po to, by schować się za tym dzieckiem jak za tarczą i zza tej tarczy [...] prowadzić swoją wojenkę – powiedział Stanowski w materiale komentującym sprawę. Niezależnie od tego, po czyjej stronie jesteśmy w tej konkretnej sprawie, to warto spojrzeć na nią z pewnym dystansem. Ogromna niechęć medialnego mainstreamu do twórcy Kanału Zero jest faktem, ale nie da się jej w pełni zrozumieć bez przybliżenia nieco tej postaci. Medialna kariera Krzysztofa Stanowskiego to przykład jednego z największych fenomenów w historii III RP. Człowiek, który zaczynał jako dziennikarz sportowy, w krótkim czasie stał się jednym z najważniejszych komentatorów politycznych. Skąd ten sukces? Na jakie społeczne potrzeby odpowiada Stanowski? Przyjrzymy się temu.

Wielki demaskator

Pisałem już na łamach naszego tygodnika, że żyjemy w świecie złamanej obietnicy neoliberalnej merytokracji. Dla coraz większej części społeczeństwa widoczne jest, że zdobycie dobrego wykształcenia nie gwarantuje bogactwa ani nawet względnej finansowej stabilizacji. Ciężka praca niekoniecznie oznacza wzrost zamożności. Instytucje, których celem powinno być zmniejszanie społecznych nierówności, skupiają się na petryfikowaniu status quo, a wszelkie społeczne hierarchie są ułożone tak, aby faworyzować najbardziej uprzywilejowane grupy. Co więcej, istnieją już całe pokolenia ludzi, dla których tak naszkicowany obraz jest smutną rzeczywistością społeczną, w której wzrastali. Ta nowa perspektywa jest niezwykle istotna, bo o ile duża część ludzi reprezentujących starsze pokolenia dała sobie wmówić, że jedynie ciężka, często eksploatująca zdrowie psychiczne i fizyczne praca robiona na zgliszczach relacji rodzinnych i społecznych

eprasa.pl 47f4bae96f

może sprawić, że „dogonimy Zachód", „wejdziemy do grona europejskich cywilizacji", o tyle nowe pokolenia patrzą na te „obietnice" inaczej. Dla nich kapitalizm nie jest „osiągnięciem", demokracja nie jest „osiągnięciem", i nawet Unia Europejska nie jest „osiągnięciem" – tylko tym, czym powinny być, czyli rzeczywistością, którą można oceniać, osądzać i kwestionować. Mówiąc obrazowo, gdy jesteśmy w miejscu, w którym – z powodu kompleksów – czujemy się „nie pasujący", to nie mamy odwagi kwestionować niczego, co widzimy. Gdy zaś jesteśmy już „u siebie", powiedzenie „ale to nie jest mądre/dobre/sprawiedliwe" przychodzi już dużo łatwiej. W tym sensie dla nowych pokoleń złamanie obietnicy liberalnej merytokracji jest dużo bardziej nie tylko widoczne, lecz także bolesne niż dla starszych pokoleń. To właśnie te uczucia dobrze zagospodarował Stanowski. Kariera dziennikarza nabrała imponującego tempa, w czasach gdy pracował on w Kanale Sportowym i prowadził program „Dziennikarskie Zero". Pozornie był to program, w którym Stanowski brał na cel konkretne osoby z mediów i show-biznesu. Jednak bardzo często używał swoich „ofiar" jako personifikacji większych problemów w naszej medialnej rzeczywistości. Krytykując zaangażowanie byłego szefa gangu pruszkowskiego Andrzeja „Słowika" Zielińskiego w organizacji MMA-VIP Marcina Najmana, pokazał, że zarówno biznes, który często lubi mówić o społecznej odpowiedzialności, jak i media nie mają problemu z wybielaniem wizerunków byłych przestępców. Uderzając w aktorkę Natalię Janoszek, którą media niezgodnie z prawdą przestawiały jako gwiazdę Bollywood, pokazał, że w medialnej

MEDIALNA KARIERA KRZYSZTOFA STANOWSKIEGO TO PRZYKŁAD JEDNEGO Z NAJWIĘKSZYCH FENOMENÓW W HISTORII III RP. CZŁOWIEK, KTÓRY ZACZYNAŁ JAKO DZIENNIKARZ SPORTOWY, W KRÓTKIM CZASIE STAŁ SIĘ JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH KOMENTATORÓW POLITYCZNYCH.

Krzysztof Stanowski

Fot. Jakub Porzycki / Forum

rzeczywistości nie promuje się ciężkiej pracy, lecz kłamstwo. Piętnując hipokryzję, nietrzymanie się zawodowej etyki i zakłamanie wielu „medialnych autorytetów" Stanowski wyrabiał sobie pozycję wielkiego demaskatora. Na ile działał według jakiegoś planu, a na ile było to jedynie podążanie za własnymi odruchami? Czy rzeczywiście chodziło o walkę o lepsze standardy, czy jedynie o rozwój własnej kariery? Nie da się tego jednoznacznie rozstrzygnąć. Faktem na pewno jest, że emocje, do których odnosi się Stanowski, są jak najbardziej prawdziwe. Tworząc największe dzieło swojego życia – Kanał Zero – również odwołał się do takich emocji – tęsknoty za pluralistycznym medium.

Tworząc wbrew trendom

Powiedzieć, że dzisiejsze media są w kryzysie, to truizm. Z roli „czwartej władzy", recenzentów patrzących politykom na ręce, wielu dziennikarzy przeistoczyło się w aktywnych uczestników gry politycznej – osłaniających za wszelką cenę jednych polityków i atakujących innych niezależnie od tego, co zrobią. Zamiast próby objaśniania świata odbiorcom postawili na logikę polaryzacji. Co więcej, korporacyjny układ mediów zakładający, że media, tak jak każda inna korporacja, muszą przynosić zysk, spowodował, że w wyniku tzw. racjonalizacji zatrudnienia status zawodu dziennikarza uległ degradacji i prekaryzacji. Dawniej każda duża redakcja zatrudniała specjalistów z różnych dziedzin. Dla przykładu: był w redakcji dziennikarz odpowiedzialny za politykę edukacyjną, który w każdej chwili był w stanie podjąć równoprawną dyskusję z ministrem edukacji bądź z posłem opozycji zasiadającym w komisji edukacji, gdyż znał ten temat na poziomie eksperckim. W tej chwili zwłaszcza telewizyjni dziennikarze często pełnią rolę speakerów moderujących polityczne konflikty bez choćby próby wejścia w ich meritum. Sami dziennikarze, niestety, po pierwsze nie mają czasu, by się na jakiejś dziedzinie znać, ponieważ często pracują w elastycznych godzinach zatrudnienia, przenoszą się od redakcji do redakcji, co także w tym wypadku nie jest bez znaczenia. Przez spadek poziomu dziennikarstwa automatycznie spada też poziom debaty publicznej. Przedstawiciele mediów winą za taki stan rzeczy obciążają… odbiorców. Każdy, kto kiedykolwiek pracował w mediach, z pewnością usłyszał różne „mądrości" o tym, że „widzowie nie chcą pogłębionych debat", „odbiorcy mediów szukają jedynie prostej rozrywki" itd. Krzysztof Stanowski, budując Kanał Zero, postawił go w kontrze zarówno względem logiki polaryzacyjnej, jak i przeświadczenia o widzach – jako o zdolnych jedynie do odbioru prostej rozrywki. Nowe medium, poza formatami czysto rozrywkowymi, od początku postawiło na długie i pogłębione rozmowy. Niedawna prawie dwugodzinna dyskusja o polityce bezpieczeństwa między byłym i obecnym szefem Sztabu Generalnego – to idealny przykład. W kwestii doboru składu redakcji twórca Kanału Zero chciał postawić na autorów reprezentujących różne ideowe tożsamości i środowiska. Znalazło się więc miejsce m.in. dla liberalnego prawnika i jednego z najbardziej wyrazistych krytyków poprzedniej władzy Marcina Matczaka, lewicowego dziennikarza Jakuba Dymka czy prawicowego historyka Andrzeja Nowaka. Biorąc pod uwagę standardy większości polskich mediów, redakcja była bardzo pluralistyczna. Przyniosło to ogromny komercyjny sukces, czyniąc Kanał Zero najważniejszym politycznym kanałem na polskim YouTubie. Po raz kolejny Krzysztof Stanowski potrafił umiejętnie zagospodarować realne społeczne emocje i potrzeby – w tym wypadku zmęczenia tożsamościowymi mediami i tęsknoty za ich bardziej pluralistyczną formą. Prawica, całkiem słusznie, nie postrzegała Stanowskiego jako kogoś „swojego", jednak nie traktowała go nigdy z wrogością. Liberalny mainstream od początku wziął go sobie za cel.

> INSTYTUCJE, KTÓRYCH CELEM POWINNO BYĆ ZMNIEJSZANIE SPOŁECZNYCH NIERÓWNOŚCI, SKUPIAJĄ SIĘ NA PETRYFIKOWANIU STATUS QUO, A WSZELKIE SPOŁECZNE HIERARCHIE SĄ UŁOŻONE TAK, ABY FAWORYZOWAĆ NAJBARDZIEJ UPRZYWILEJOWANE GRUPY.

Zniszczyć Stanowskiego

Aby wymienić i dokładnie omówić wszystkie ataki, które spadły na Stanowskiego ze strony liberalnego mainstreamu, potrzebny byłby dużo dłuższy tekst. Warto tu zaznaczyć, że podnoszone zarzuty często były kompletnie absurdalne. Dziennikarka „Gazety Wyborczej" Iwona Gerke pisała w tekście że: „W trakcie tygodniowych poszukiwań nie znalazła żadnej

eprasa.pl 47f4bae96f

kobiety oglądającej Kanał Zero". Nie bardzo wiadomo, gdzie tych kobiet szukała, ale wystarczyło sprawdzić, kto subskrybuje kanał, lub też włączyć programy, w których odbierane były telefony od widzów, by przekonać się, że wśród widzów Kanału są kobiety. Czy jednak chodziło tu o postawienie uczciwego zarzutu, czy może o przypięcie łatki seksisty? W publicystyce „Gazety Wyborczej" twórca Kanału Zero regularnie przedstawiany jest jako mizogin, homofob czy antyekolog wyrzucający śmieci do lasu. Dowodem potwierdzającym ostatni zarzut miały być dwa wpisy Stanowskiego na portalu X – w jednym naśmiewał się ze zbyt małych kar za zaśmiecanie lasów, w drugim naśmiewał się ze słów arcybiskupa Marka Jędraszewskiego na temat „ekologizmu". W obu wypowiedział się po stronie ekologii. Oprócz medialnej kampanii obrzydzania twórcy Kanału Zero i jego medialnego przedsięwzięcia próbowano również wywierać naciski na sponsorów kanału, by wycofali się ze swojego wsparcia. Niezależnie od tego, że osobiście bardzo krytycznie oceniam przywołanie imienia syna Doroty Wysockiej-Schnepf jako elementu medialnej pyskówki, to jednak trudno mi nie odbierać przygotowanego przez prawników dziennikarki TVP pozwu jako dalszego elementu wojny, który medialny mainstream wypowiedział Stanowskiemu. Tym bardziej że informacja o pozwie zbiegła się z medialnymi doniesieniami, że Stanowski złożył do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji wniosek o przyznanie koncesji telewizyjnej na nadawanie w sieciach satelitarnych oraz kablowych. Wcześniej, bo już w lipcu, Kanał Zero zawnioskował do Urzędu Patentowego RP o zarejestrowanie i zastrzeżenie nazwy Kanał Zero TV. Czy proces i jego następstwa przeszkodzą Stanowskiemu w jego biznesowych planach? Trudno dziś prorokować. Jednak inne pytanie wydaje się tu bardziej interesujące. Skąd tak ogromna niechęć do twórcy Kanału Zero? Choć dziś jest to niechęć w pełni odwzajemniona, to jest to efekt pewnego procesu, który wcale nie musiał się tak skończyć. Innymi słowy, mainstream, traktując Stanowskiego jak wroga, faktycznie zrobił sobie z niego wroga. Ale przecież nie musiało tak być. Po co więc ten konflikt? Czy problemem było to, że jeszcze w Kanale Sportowym w swoich programach Stanowski wyśmiewał mainstreamowych celebrytów? Czy może sprawa jest głębsza? Liberalny mainstream wbrew głoszonym przez siebie hasłom nie ceni pluralizmu i bardzo źle znosi każdą formę krytyki. Tę postawę było widać bardzo wyraźnie w stosunku do tzw. symetrystów, czyli dziennikarzy, którzy uważali, że w swojej pracy powinni kierować się uczciwym intelektualnie osądem, nie zaś plemiennymi emocjami. Dwóch dziennikarzy tygodnika „Polityka", w napisanej przez siebie kuriozalnej książce, przedstawiło wszystkich „symetrystów" jako pomocników nielubianej przez siebie „autokratycznej" władzy. W tak naszkicowanej rzeczywistości wszelka niezależność traktowana jest z miejsca jako wielkie zagrożenie. Stanowski nie musiał więc być wcale prawicowy. Samo to, że chciał budować ośrodek medialny jakkolwiek niezależny od mainstreamu, uczyniło z niego śmiertelnego wroga. W politycznej komedii „Kingsajz" z 1988 roku w reżyserii Juliusza Machulskiego czarny charakter grany przez Jerzego Stuhra wykrzykuje w pewnym momencie: „Albo są z nami, albo ich nie ma!". Kto by pomyślał, że doczekamy czasów, w których to zdanie w liberalnym mainstreamie zacznie pełnić funkcje doktryny?

DZIENNIKARKA „GAZETY WYBORCZEJ" IWONA GERKE PISAŁA W TEKŚCIE ŻE: „W TRAKCIE TYGODNIOWYCH POSZUKIWAŃ NIE ZNALAZŁA ŻADNEJ KOBIETY OGLĄDAJĄCEJ KANAŁ ZERO". NIE BARDZO WIADOMO, GDZIE TYCH KOBIET SZUKAŁA.

PRZEZ SPADEK POZIOMU DZIENNIKARSTWA AUTOMATYCZNIE SPADA TEŻ POZIOM DEBATY PUBLICZNEJ.

eprasa.pl 47f4bae96f

ORLEN wspiera ratujących

Fot. materiały prasowe ORLEN SA

Kto wie, czy bez wsparcia ORLENU wiele z osób uratowanych przez strażaków i ratowników nie byłoby dziś dla swoich bliskich jedynie wspomnieniem. Hojna pomoc polskiego koncernu multienergetycznego **wzmacnia służby**, bez których pojęcie bezpieczeństwa w Polsce miałoby zupełnie inny wymiar.

Na początku września Koncern opublikował wyniki programu „ORLEN na straży". Rekordowa pula środków, czyli 20 mln zł, trafiła do 368 jednostek Ochotniczej i Państwowej Straży Pożarnej w całym kraju. Dzięki grantom strażacy będą mogli doposażyć jednostki oraz szkolić

eprasa.pl 47f4bae96f

kadry, co przełoży się na zwiększenie bezpieczeństwa lokalnych społeczności.

Wsparcie otrzymało blisko 10,5 tys. strażaczek i strażaków (warto podkreślić, że z tym wymagającym zawodem mierzy się coraz więcej kobiet) z 368 jednostek.

Podwojenie budżetu programu względem roku ubiegłego pozwoliło na zakwalifikowanie większej liczby jednostek.

– Bezpieczeństwo zapewniają nie tylko nowoczesne technologie, ale przede wszystkim ludzie, którzy potrafią działać w trudnych warunkach i pod presją czasu. Z myślą o nich powstał program „ORLEN na straży", który obejmuje szkolenia oraz wsparcie psychologiczne. Rekordowy budżet tegorocznej edycji to wyraz uznania dla ich codziennego wysiłku i dowód, że bezpieczeństwo społeczności lokalnych traktujemy jako wspólny priorytet – podkreślą władze ORLENU.

Średnia wartość przyznanego grantu wyniosła w tym roku 54 347 zł.

Program obejmował dwie ścieżki wsparcia. Pierwsza dotyczyła jednostek OSP włączonych do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego oraz jednostek PSP i OSP zabezpieczających strategiczne lokalizacje Grupy ORLEN. W dobie rosnących zagrożeń – także związanych z wojną na Ukrainie – to szczególnie ważna pomoc. Granty (od 40 tys. do 150 tys. zł) przeznaczano m.in. na ratownictwo drogowe, chemiczne (w tym gazowe i naftowe), reagowanie na zagrożenia związane z instalacjami OZE oraz skutki zmian klimatu.

Wsparcie otrzymały także jednostki aspirujące do włączenia do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego. Otrzymywały one do 50 tys. zł na działania przybliżające je do spełnienia wymaganych standardów.

Sprzęt, rozwój, szkolenia

Społeczność strażacka w Polsce to dziś 16,5 tys. jednostek OSP, z czego ponad 5 tys. należy do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego – jednego z filarów bezpieczeństwa Polaków.

Większość jednostek radzi sobie na różne sposoby np.: organizuje zbiórki na sprzęt, szkolenia czy nowe siedziby. Tam, gdzie jest to możliwe, współpracują z samorządami. Jednak wielu strażaków przyznaje, że bez wsparcia dużych koncernów, a zwłaszcza ORLENU, ich sytuacja byłaby znacznie trudniejsza.

Modernizacje OSP najczęściej sprowadzają się do wymiany wysłużonych Jelczy z lat 80. i 90. na nowoczesne wozy ratowniczo-gaśnicze, które można kupić choćby we Francji czy w Niemczech. Równie ważne jest wyposażenie osobiste: każdy strażak potrzebuje kombinezonu i ekwipunku, który w pierwszej kolejności zapewni bezpieczeństwo jemu samemu – inaczej trudno byłoby skutecznie ratować innych.

Myśląc o innych

To jednak nie wszystko. Fundacja ORLEN wspiera także podmioty ratownicze kluczowe dla bezpieczeństwa w górach i na wodzie. Chodzi m.in. o GOPR, Mazurskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe czy Legionowskie Wodne Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. To właśnie do tych ratowników dzwonimy w pierwszej kolejności, gdy zagrożone jest nasze życie lub zdrowie. Oni zaś otwarcie przyznają, że ich wyszkolenie i sprawny sprzęt to w dużej mierze zasługa hojnych mecenasów – a wśród nich szczególne miejsce zajmuje ORLEN.

Orlen i OSP razem dla bezpieczeństwa

Rusza nowy nabór na granty dla jednostek z pięciu województw. ORLEN przeznaczy dodatkowe 5 mln zł na wsparcie Ochotniczych Straży Pożarnych z województw mazowieckiego, podlaskiego, podkarpackiego, lubelskiego oraz warmińsko-mazurskiego. W ramach pilotażowego programu „ORLEN. Razem dla bezpieczeństwa" jednostki OSP mogą otrzymać do 50 tys. zł z przeznaczeniem na sprzęt logistyczny czy środki łączności. Wnioski można składać do 8 października.

SPOŁECZNOŚĆ STRAŻACKA W POLSCE TO DZIŚ 16,5 TYS. JEDNOSTEK OSP, Z CZEGO PONAD 5 TYS. NALEŻY DO KRAJOWEGO SYSTEMU RATOWNICZO-GAŚNICZEGO – JEDNEGO Z FILARÓW BEZPIECZEŃSTWA POLAKÓW.

Artykuł powstał we współpracy z ORLEN SA.

eprasa.pl 47f4bae96f

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO

Podróż w głąb Żurka

Sławomir Jastrzębowski

Fascynujące! Co tam się w środku w tym Żurku musi dziać? Jakie tam muszą rodzić się tezy i antytezy? W chrzęście i bólu walczą tam racje i poglądy, ścierają się niczym w połowie utracone zęby (na marginesie: pan Żurek za ścieranie się zębów ze stresu i mobbingu zażądał od Sądu Okręgowego pieniędzy, ale niestety nie dostał). Zapraszam więc Państwa na wirtualną wycieczkę w głąb Żurka!

W byłym sędzi, w obecnym ministrze sprawiedliwości dostrzegamy na wstępie myśl przewrotną, która po okresie pączkowania zakwitła z całym okrucieństwem. Okrucieństwem dla sędziów, którzy sędziami zostali po 2018 roku, czyli w czasach nowej Krajowej Rady Sądownictwa, której to pan minister Żurek i kilka znanych mu osób postanowili nie uznawać. Procedura jest taka, że o tym, kto zostaje sędzią, decyduje prezydent, ale na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa. Według Żurka sędziowie, którzy zostali sędziami po 2018 roku, nie są sędziami, co jest oczywiście bzdurą, bo skoro prezydent mianował, to mianował i tyle. Zresztą takie samo zdanie ma na przykład Komisja Wenecka, która bardzo się panu Żurkowi podobała, ale do czasu, aż stwierdziła, że nie ma żadnych neosędziów. Wtedy Żurek nie powiedział, że mu się Komisja Wenecka nie podoba, tylko rozpoczął taktyczną procedurę niedostrzegania komisji. Krótko mówiąc, Żurek stoi na stanowisku, że KRS, jak kogoś mianuje do wydawania wyroków czy orzeczeń, to ten ktoś jest nielegalny, a orzeczenia nieważne.

Lecz nadszedł Dzień Asesora, czyli przedsędziego, czyli w sumie trzymając się logiki Waldemara Żurka – przedneosędziego – i we wnętrzu byłego sędziego zaszły diametralne zmiany. Warszawski sąd miał rozpocząć proces byłego prominentnego polityka Platformy Obywatelskiej Sławomira Nowaka. W zasadzie chodziło o polski wątek korupcyjny. Akt oskarżenia sporządzony przez prokuraturę trafił do sądu. Dowody wydawały się miażdżące, pieniądze z łapówek i notatki pisane ręką pana Sławka znalezione, świadkowie i byli wspólnicy Nowaka obciążali go, podając dość szokujące szczegóły, za co litościwie zostali skazani na kary więzienia w zawieszeniu. I w tym momencie, to znaczy w momencie rozpoczęcia procesu Nowaka, stało się niespodziewane bęc. Otóż nowy prokurator, w zasadzie prokuratorka, zgodziła się, że nie ma żadnych dowodów przeciw Nowakowi, który – co prawda – prawie rok spędził w areszcie tymczasowym, bo na wniosek prokuratury, która przedstawiała dowody, sądy uznawały, że prawdopodobieństwo popełnienia przestępstw korupcyjnych przez Nowaka jest wysokie. Niemniej tak się jakoś stało, że prokurator zmienił zdanie, choć nie zmieniły się dowody. Asesor, czyli według logiki Żurka przedneosędzia, pan Arek, lat 29, mógł rozpocząć proces, ale nie rozpoczął i sprawę zgodnie umorzył. Myślę, że po tej niespodziewanej decyzji Sławomir Nowak skakał z radości, ale dyplomatycznie powiedział, że ma gorzką satysfakcję.

> WEDŁUG ŻURKA SĘDZIOWIE, KTÓRZY ZOSTALI SĘDZIAMI PO 2018 ROKU, NIE SĄ SĘDZIAMI.

A teraz uwaga, bo będzie o diametralnej zmianie Żurkowej. Wydawałoby się, że Żurek jako prokurator generalny zaprotestuje albo przynajmniej wyrazi konsekwentną opinię, że asesor Arek został asesorem po mianowaniu przez prezydenta na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa, której przecież pan Żurek nie uznaje, więc nie może oczywiście uznać, że asesor jest asesorem, tylko przecież logicznie niczym niby neosędziowie jakimś uzurpatorem, podrabiańcem i właściwie to go nie ma i jego orzeczeń też nie.

Tu kończy się podróż do wnętrza Żurka, zabrnęliśmy bowiem w ślepą kiszkę. Żurek tym razem nie protestuje, tak jakby orzeczenie w sprawie polityka PO Nowaka podobało mu się, mimo że wydane przez pana Arka. The end.

eprasa.pl 47f4bae96f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Dominice Długosz jeszcze o „Chłopcach z Placu Broni”

Rodzicielski trud jak to rodzicielski trud, usłany jest taką samą ilością sukcesów, jak i porażek. A może powinienem pisać tu za siebie, bo pewnie różnie bywa.

Na pewno za swój rodzicielski sukces uważam to, że nie musze moich Chłopców gonić do Pacierza. Kiedyś zmawialiśmy go wspólnie, teraz jest to trudniejsze, różnica wieku za duża i tryb dnia zbyt różny, natomiast każdy z nich mówi Pacierz sam z siebie, a Średni wręcz sam dodaje do niego kolejne modlitwy. Kiedy czasem zmawiamy go wspólnie, niektórych nawet nie znam. W świecie pozbawionym wartości czy też raczej wypełnionym antywartościami, myślę, że ten fundament będzie dla nich bardzo ważny.

Jakąś porażkę odnieśliśmy natomiast w zakresie ich zamiłowania do różnorakich, odbierających czas i człowieczeństwo urządzeń. Niestety wszyscy mają do nich wielkie zamiłowanie. Oczywiście, że staramy im się je wydzielać (oprócz Najstarszego, który jest już dorosły), ale cóż po tym, jeśli tę miłość to tylko pogłębia.

Z książkami za to sprawa jest dość złożona. W Najstarszym jakiegoś głębokiego uczucia nie udało mi się w tej kwestii wykrzesać. Nie znaczy to, że ich nie czyta. Czasem czyta, najczęściej historyczne z okresu II wojny światowej, ale ja w jego wieku (tak, tak, wiem, inne czasy) czytałem czasem i po osiem książek jednocześnie, sięgając do tej, na którą akurat miałem ochotę. A to coś z science fiction, a to coś z historii czy z astronomii.

Natomiast Średni inaczej, ten sprawia wrażenie, jakby rzeczywiście w książki wsiąkł. Czytamy je razem. Ma niecałe jedenaście lat. A za sobą już całe „Opowieści z Narni”, „Hobbita” i wiele innych. Teraz jesteśmy na etapie pierwszej części trylogii Tolkiena. A książką, która wywarła na nim wrażenie chyba największe, są „Chłopcy z Placu Broni”. Ci sami, o których red. Dominika Długosz pisała: „Dziecko czyta «Chłopców z placu Broni». Na 3 stronie powiedziała, że nie rozumie ani słowa i teraz brniemy przez to razem. Masakra. Nie, nie czytamy po węgiersku” – na co odpowiadała jej Anna Maria Żukowska: „Przechodziłam to samo. To było bezsensowne. Nudy, archaiczny język, niedzisiejsze problemy, dla dziewczynki dodatkowo brak żeńskich bohaterek. Nemeczek to naprawdę jest odległa, odległa historia – o lata świetlne od Musicaly i Insta”. Na co Długosz dopowiadała: „Już mnie to w ogóle nie kręciło. A różnica w czasie między mną a Nemeczkiem była mniejsza niż między Młodą a mną. IYKWIM”.

Choć minęło od niego kilka lat, jakoś nie potrafię o tym dialogu zapomnieć, choć wydaje się dziś archaiczny i odpływający z mgłą zdychającej neomarksistowskiej rewolucji. Tym bardziej, że tych „Chłopców z Placu Broni” czytaliśmy ze Średnim po raz drugi. Za pierwszym razem dla przyjemności, a za drugim – ponieważ jest jego lekturą.

I za każdym razem, szczególnie podczas czytania o śmierci Nemeczka, obaj płakaliśmy jak bobry.

eprasa.pl 47f4bae96f

WIBOR
nasz powszedni

Po wrześniowej opinii rzecznika generalnego TSUE w sprawie WIBOR-u, wskaźnika referencyjnego stopy procentowej – błogosławieństwa dla nadwiślańskich banków i przekleństwa kredytobiorców – banki ogłosiły triumfalne zwycięstwo. Podobnie prawnicy reprezentujący ponad dwa miliony kredytobiorców, którzy dowiedzieli się od nich, że umowy kredytowe są en bloc **do podważenia**, a część z nich do unieważnienia.

Aleksander Żywczyk

Tym razem jednak prawda nie leży po środku i bez względu na zdanie bankowców, TSUE obnażył kolejną nie do końca uczciwą zagrywkę sprzedawców kredytów. I problem, którego wartość dla gospodarki będzie równie wysoka, co w przypadku zaskarżanych masowo kredytów frankowych.

Ten trudny wskaźnik

WIBOR wskaźnik referencyjny stopy procentowej – ważny dla banków, bo określający średnią stawkę oprocentowania, po jakiej banki w Polsce udzielają sobie pożyczek na określony czas do niedawna stanowił podstawę oprocentowania większości kredytów hipotecznych i gotówkowych. Choć w sektorze bankowym jest powoli zastępowany przez nowy wskaźnik – POLSTR (ang. Polish Short Term Rate, to nowy wskaźnik referencyjny stóp procentowych, który ma zastąpić stosowany dotychczas WIBOR. Jest wyliczany na podstawie rzeczywistych jednodniowych transakcji depozytowych pomiędzy polskimi

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 47f4bae96f

instytucjami kredytowymi i finansowymi i stanowi kluczowy element reformy polskiego rynku finansowego, dostosowując go do międzynarodowych standardów), sporny wskaźnik wciąż jest obowiązujący dla wszystkich umów kredytowych, które były podpisane do końca ub. roku. Tylko w przypadku kredytów hipotecznych, które Polacy brali w złotówkach, oznacza to 2,192 mln (na koniec I kwartału tego roku) wciąż obowiązujących i czynnych umów, z których lwia część już niedługo może zostać zaskarżona przez samych klientów.

Jednak zdaniem banków wyrok był korzystny... dla banków i raz na zawsze rozwiązuje problem samego WIBOR-u. Wskaźnika, który był ustalany przez spółkę z grupy GPW, czyli GPW Benchmark S.A., która wyliczała go – jak zapewniała – na podstawie deklaracji banków dotyczących stawek, po jakich banki są gotowe pożyczać sobie nawzajem pieniądze.

Skomplikowane? Tak, dla przeciętnego klienta polskiej bankowości wskaźnik ten zawsze był niejasny i arbitralny. Zapisany w umowie był jednym z żelaznych punktów, których klienci – wbrew polskiemu ustrojowi gwarantującemu równość stron w umowach gospodarczych – nie mogli negocjować ani nawet nie musieli rozumieć. WIBOR był słowem tajemniczym, o którym urzędnicy bankowi mówili po prostu, że „musi być, bo takie są zasady", nie wyjaśniając nic więcej i nie dodając, że jego wysokość jest w pełni zależna od rzeczywiście arbitralnej deklaracji banków składanych administrującej wskaźnikiem spółce. WIBOR nigdy nie był więc wskaźnikiem rynkowym – raczej nie wynikającym z faktycznej kondycji gospodarki i samych kredytobiorców i pełniącym rolę zmieniającej się stałej w równaniu, która ostatecznie ma prowadzić do tego, że bez względu na okoliczności umowa kredytowa będzie instrumentem, który pozwoli bankom wyjść solidnie na swoje.

Bo bank tak chciał

To wierzchołek wątpliwości – bo wskaźnik zmieniał się (podobnie jak zmienia się zastępujący go POLSTR) codziennie rano, a w umowach kredytowych co miesiąc, trzy lub sześć miesięcy, powodując zmienną wysokość rat i zmienne oprocentowanie. Oprocentowanie zależące od kondycji i potrzeb banków.

Kiedy kolejny klient banku spierający się o wysokość coraz trudniejszych do zaakceptowania i rosnących rat zapytał w sądzie: „Ale dlaczego WIBOR?" sprawa trafiła – podobnie jak inne kredytowe, dotyczące pożyczek udzielanych Polakom we frankach szwajcarskich kilka lat wcześniej – do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Na decyzję czekało wielu klientów, wierząc nie tylko w to, że w końcu dowie się skąd w ich umowach wzięła się „niezbędność" tego akurat wskaźnika, skoro banki z powodzeniem mogły zastosować tu ogłaszaną przez Radę Polityki Pieniężnej wysokość stóp procentowych, i czy w ogóle jest on zgodny z prawem, skoro w całej reszcie Unii Europejskiej nikt nie stosował podobnego narzędzia.

eprasa.pl 47f4bae96f

Jeszcze tego samego dnia, kiedy rzecznik generalny TSUE wypowiedział się w sprawie wskaźnika, Związek Banków Polskich natychmiast skomentował to oświadczeniem, że „rzecznik TSUE potwierdził prawidłowość wyznaczania WIBOR-u" oraz że banki realizowały kwestię obowiązków informacyjnych w sposób prawidłowy.

A jednak klienci

„Sąd nie może badać metody ustalania wskaźnika WIBOR. Badanie metody wykracza poza zakres Dyrektywy konsumenckiej 93/13. Rzecznik generalny uznał, że zezwolenie krajowym sądom cywilnym na weryfikację metody ustalania kluczowych wskaźników referencyjnych w drodze oceny nieuczciwego charakteru warunku umownego na podstawie dyrektywy 93/13 podważyłoby szczególny system zarządzania kluczowymi wskaźnikami referencyjnymi ustanowiony przez prawodawcę Unii na mocy rozporządzenia BMR" – informował Związek Banków Polskich w specjalnym komunikacie, dodając, że „[...] bank powinien przekazać informacje o nazwie, administratorze i skutkach wzrostu wskaźnika na oprocentowanie kredytu, co było realizowane przez banki". Jednak jednocześnie banki zaczęły w swoich aktywach robić odpisy na ewentualne straty wynikające z konieczności unieważnienia umów o kredyty hipoteczne w obecnej postaci.

„Z wydanej opinii jednoznacznie wynika, że rzecznik generalny stanął po stronie konsumentów w sporze o kredyty WIBOR-owe. Wszystkie kluczowe tezy podkreślone w dokumencie, od dopuszczenia kontroli takich umów przez pryzmat ochrony konsumenta, przez bardzo wysokie wymagania odnośnie do jasności i pełni informacji, po konieczność neutralnego przedstawienia ryzyka, są korzystne dla kredytobiorców. Opinia jest przy tym napisana w sposób jasny i konkretny, co oznacza, że bankom będzie trudno interpretować ją na swoją korzyść" – wyjaśniali z kolei prawnicy zajmujący się reprezentowaniem klientów w sporach z bankami. Próby przekonywania, że „to nic nie znaczy", mogą się okazać nieskuteczne, bo treść opinii mówi sama za siebie.

Przed wyrokiem

Sama opinia rzecznika generalnego TSUE z września 2025 r. wskazuje, że sąd nie może podważać samego wskaźnika ani sposobu jego ustalania, jednak może badać umowy kredytowe oparte na WIBOR pod kątem przejrzystości i rzetelności. Co to oznacza? Na przykład to, czy szczegółowe informacje dotyczące wskaźnika znalazły się w treści umowy (zwykle się nie znajdują) lub w ofercie bankowej, w której również najczęściej informacje sprowadzają się do zdania, że oprocentowanie kredytu oparte jest na wskaźniku. W efekcie to banki będą musiały udowodnić, że rzetelnie informowały klientów o sposobie działania WIBOR-u oraz o tym, jaki ma faktyczny wpływ na wysokość rat. Jeżeli tego nie zrobią, sąd będzie mógł zmusić je do modyfikacji umowy kredytowej na przykład poprzez usunięcie z niej wskaźnika i pozostawienia oprocentowania opartego wyłącznie o marżę banku (czyli byłoby ono stałe), a w najgorszej dla banku opcji sąd będzie mógł unieważnić umowę. Wówczas klient będzie mógł znaleźć innego kredytodawcę lub podpisać nową umowę z tym samym bankiem, ale już w oparciu na zupełnie innych zasadach.

Warto pamiętać, że ostateczny wyrok TSUE ma zapaść dopiero na początku przyszłego roku. Na razie opinia publiczna poznała opinię rzecznika generalnego Trybunału – choć zwykle opinie rzecznika poprzedzają wyroki, wskazując trend, na jaki muszą się przygotować instytucje w sporach z klientami. Sam wyrok może zostać poszerzony o ocenę legalności WIBOR-u, jeżeli sędziowie zdecydują, że jednostronna umowa banków między sobą, jak mają ustalać w najbliższym kwartale, jest sprzeczna z unijnym prawem ochrony konsumentów. Tak czy inaczej sektor bankowy nad Wisłą czeka kolejna po kredytach frankowych rewolucja. Rewolucja, na którą bankowcy sami ciężko pracowali, nie tylko ustalając wątpliwe zasady przyznawania i oprocentowania umów, ale również nie informując o tych zasadach swoich klientów. Na stole są niemałe pieniądze, bo średnia wartość kredytu hipotecznego w Polsce to niemal 450 tys. złotych. Miesięcznie banki udzielają średnio 8 mld złotych kredytów na własne „M". Do tego dochodzi jeszcze większa co do wolumenu liczba kredytów gotówkowych, które po wyroku TSUE również będzie można podważyć.

SEKTOR BANKOWY NAD WISŁĄ CZEKA KOLEJNA PO KREDYTACH FRANKOWYCH REWOLUCJA. REWOLUCJA, NA JAKĄ BANKOWCY SAMI CIĘŻKO PRACOWALI.

eprasa.pl 47f4bae96f

KARUZELA BLOGERAMI

GRZEGORZ „GRZECHG" GOŁĘBIEWSKI

POLITYCZNA PĘTLA

Od kiedy Konfederacja stoi dzielnie na sondażowym podium politycznego poparcia wśród wyborców, jej lider uznał się najwyraźniej za głównego rozgrywającego w polskiej polityce. Dość przedwczesny jest ten triumfalizm Sławomira Mentzena, ale w tym pochodzie młodych liderów prawicy czy obozu władzy nadaremno szukać jakiejś głębszej refleksji politycznej. O ile w przypadku rządów Prawa i Sprawiedliwości pycha pojawiła się w całej okazałości dopiero pod koniec rządów tej formacji, o tyle w Konfederacji (oczywiście nie całej, bo są chlubne wyjątki) ona ma się już znakomicie jeszcze przed ewentualnym objęciem władzy. Niezbyt dobrze to wróży tej części prawicy, a i samej Polsce. Potencjalni następcy rządów Zjednoczonej Prawicy, mieniący się często liberałami, chętniej spoglądają dziś w stronę Donalda Tuska niż w stronę Jarosława Kaczyńskiego. Oczywiście potajemnie...

To prawda, że zbliża się nieuchronna zmiana pokoleniowa i za niedługi czas nie będzie już ani „starego" PiS-u, ani „starej" Platformy, i chodzi tu tylko o nowe ramy tych partii, a nie o ich zniknięcie ze sceny politycznej. PO już szykuje się do wchłonięcia kilku małych partyjek, w zasadzie formalnego, bo przecież nikt o zdrowych zmysłach nie wierzy w to, że dziś istnieje realnie coś takiego jak Nowoczesna. Będzie nowy szyld i póki co stary Tusk. Póki co, bo w tle trwa wojna podjazdowa Radosława Sikorskiego, swoją drogą zupełnie nieprofesjonalna i zabawna. Ale być może o to w tym chodzi, żeby było więcej satyry niż realnej polityki, bo jak inaczej nazwać jakiś zjazd w postaci zrywu na Podhalu? Tak naprawdę nikt zresztą nie wie do końca, w co gra dziś Radosław Sikorski, który wszedł w ostatni zakręt swojej politycznej kariery. Tuska nie zastąpi, bo nie ma ani takich wpływów, ani tylu szabel, a sam Tusk z kolei z upodobaniem przyodziewa się w narodowe, biało-czerwone szaty. Zawsze ktoś się na to nabierze, szczególnie teraz w sytuacji zagrożenia ze Wschodu.

Wniosek, który nasuwa się z tych przeróżnych szarż, deklaracji, pogróżek i fantazji politycznych, jest jeden zasadniczy: pętla polityczna III RP trzyma się mocno. To, co urodziło się przy Okrągłym Stole, może i uległo różnym przepoczwarzeniom, kooptacjom i wstrząsom, ale szkielet tego kompromisowego tworu pozostał nienaruszony. I jeśli nawet Sławomir Mentzen ma rację, że czas zburzyć ten stary porządek, a po drugiej stronie młoda lewica z Razem mówi z kolei, że chce nowego państwa opiekuńczego, szlachetnego, bez wyzysku i chciwych deweloperów, to wyborców ma dziś głównie w młodym pokoleniu Polaków. To wyborcy, u których trudno się doszukać choćby jednego genu Solidarności, za to mają oni niebywałą chęć osiągnięcia życiowego sukcesu. Rzecz tylko w tym, że Konfederacja podaje im na to łatwe i często fałszywe recepty. Ot, po prostu, odsunąć Kaczyńskiego od polskiej polityki, PiS zepchnąć do rowu, a z Tuskiem się porozmawia. Nie ma nic gorszego, niż nie doceniać konkurenta politycznego. Wie o tym dobrze właśnie sam Tusk, dlatego tak metodycznie i na zimno stara się pogrzebać widoczny na horyzoncie powrót PiS do władzy.

Pojawia się więc pytanie, czy ta pętla polityczna III RP jest dziś korzystna (bo nie dobra) dla Polski, czy też najwyższy już czas na pokoleniową zmianę warty w polskiej polityce. Jeśli w tych wszystkich młodych konfederackich głowach przyjdzie czas na opamiętanie, na zrozumienie, jak skomplikowana jest ta nasza rodzima materia polityczna i jak piekielnie trudne jest położenie Polski w Europie, to być może uda się przygotować fundament pod budowę nowej niepodległościowej i patriotycznej prawicy, która za dwa lata ponownie obejmie władzę w kraju. Tu w zasadzie nie ma innego, dobrego wyjścia. PiS nie może odwracać się od młodych wyborców Konfederacji, deprecjonować jej lidera, nie może też nie dostrzegać wyborców partii Razem czy szczątkowego elektoratu Szymona Hołowni. Mentzen z kolei, jeśli chce być obecny na szczycie polskiej polityki, musi wyleczyć się z własnej pychy, bo to jest naprawdę straszna choroba polityczna. Innymi słowy, łagodna zmiana warty na polskiej prawicy jest realna, pod warunkiem postawienia interesów państwa ponad własnymi ambicjami. To jest bardzo prosta recepta na sukces. W przeciwnym razie wojna po prawej stronie, konszachty z Tuskiem, doprowadzą w niedalekiej przyszłości do „ostatecznego rozwiązania" kwestii polskiej w Europie.

eprasa.pl 47f4bae96f

FINLANDYZACJA,

czyli krążenie fikcyjnego widma

„Widmo krąży nad Ukrainą, widmo finlandyzacji" – zatytułowała swoją ostatnią publikację „Foreign Policy". Ten trawestujący Marksa tytuł dobrze oddaje rzeczywistość. Choć w danym przypadku trafniejsze byłoby tłumaczenie kluczowego słowa nie jako „widmo", tylko jako „**upiór**".

Piotr Skwieciński

Pierwszy przywołał widmo – i chyba dlatego, że uczynił to właśnie on, stało się ono tak popularne – prezydent Finlandii Alexander Stubb. W czasie waszyngtońskiego spotkania Donalda Trumpa z liderami UE i Wołodymyrem Zełenskim, tłumacząc swoją rolę w tym, co wtedy uznawano za początek procesu pokojowego, powiedział on: „Mamy historyczne doświadczenie współistnienia z Rosją, znaleźliśmy rozwiązanie w 1944 roku i myślę, że damy radę znaleźć rozwiązanie i w 2025 roku".

Stubb nawiązał tu do porozumienia kończącego udział Finlandii w wojnie państw Osi z ZSRR, na mocy którego jego kraj ostatecznie stracił terytoria oddane Rosji po raz pierwszy po zakończeniu wojny zimowej w 1940 roku, zgodził się na utworzenie na swoim terytorium bazy radzieckiej, wypłacenie kontrybucji, delegalizację „organizacji faszystowskich" i legalizację partii komunistycznej, ukaranie fińskich „przestępców wojennych" oraz zerwanie sojuszu z Niemcami i usunięcie ich oddziałów ze swojego terytorium.

> „POWIEDZIEĆ, ŻE PUTIN MA NA PUNKCIE UKRAINY OBSESJĘ, TO NIE POWIEDZIEĆ NIC" – JAK STWIERDZIŁ PROF. HRYCAK.

Po drugiej stronie tego równania było to, że Finlandia (jako jedyny kraj pokonany w II wojnie światowej przez Związek Radziecki) nie została okupowana. A także zachowała system demokratyczny i wolnorynkowy. Stubb bardzo wyraźnie sugerował, że takie rozwiązanie jest możliwe również dziś dla Ukrainy.

Trudno przy tym orzec, na ile kierował się przy tym wiedzą o tym, co na danym etapie spodoba się Trumpowi (prezydent Finlandii jest znany z umiejętności utrzymywania bardzo dobrych relacji z POTUS-em, grywa z nim w golfa), a na ile swym rzeczywistym oglądem sytuacji. Tak czy inaczej, w następnych tygodniach czuł się zmuszony parokrotnie tłumaczyć, wijąc się, że wcale nie miał na myśli tego, co powiedział. Ale na próżno – lawina już szła.

Wolicie być Koreą czy Wietnamem Południowym?

Finlandyzację jako możliwe dla Ukrainy rozwiązanie w ostatnich dniach na międzynarodowej konferencji w Kijowie chwalił, nawiązując do pierwotnej wypowiedzi Stubba, znany szkocko-amerykański historyk

eprasa.pl 47f4bae96f

Fot. Wikimedia Commons

Sowiecki czołg IS-2 zniszczony w czasie ofensywy w Karelii, czerwiec 1944 r.

i politolog Niall Ferguson. Stwierdził, że prawdziwe, tj. długotrwałe, zwycięstwa nie są czymś spektakularnym (przesłanie: o spektakularność nie warto się bić), ich cechą jest natomiast to, że zabezpieczają stronę uznaną potem za zwycięską przed kwestionowaniem jej legalności w porządku międzynarodowym. To przykład Finlandii z 1944 roku. A w jeszcze większej mierze Korei Południowej z roku 1953, dziś bezspornie uznawanej za zwycięzcę wojny koreańskiej, mimo że gdy ona się kończyła w 1953 roku, powszechnie uznawano jej rezultat za kiepski rozejm.

Finlandia – cytował Ferguson Stubbsa – już z okresu, gdy ten usiłował zniuansować swoją pierwotną wypowiedź – w 1944 r. ocaliła swoją niepodległość, ale nie suwerenność ani pełnię terytorialną. I to jest przykład dla Ukrainy, której według Fergusona grozi obecnie los nie południowej Korei, tylko południowego Wietnamu – czyli państwa które załamało się i przestało istnieć, pozbawione amerykańskiego wsparcia (w Wietnamie główny ciężar walk spoczywał na żołnierzach US Army, których na Ukrainie w ogóle nie ma, ale historyk z Harvardu nie uznał za wskazane pochylić się nad tak nieistotnym szczegółem). Ukrainie – Ferguson nie artykułował tego z „ostrożności procesowej" aż tak ostro, ale jednoznacznie taki był sens – pozostaje obecnie przyjąć rozwiązanie finlandyzacyjne – ze świadomością, że dla Putina to będzie subiektywnie tylko pieriedyszka. Ale przyjąć pomimo tego, licząc na... rozpad Rosji.

Inny panelista, ukraiński historyk Jarosław Hrycak, odpowiadając Fergusonowi, wykazał całą nierealność tego rodzaju pomysłów. Ale Fergusona wsparł z sali światowej sławy politolog Fareed Zakaria, pytając Hrycaka – przy tym tak jakby demonstracyjnie udając, że nie słyszał jego wystąpienia – „Ale gdyby Ukraina zgodziła się na straty terytorialne, ale dzięki temu przetrwała jak Korea Południowa, to właściwie

eprasa.pl 47f4bae96f

dlaczego to nie byłoby dobre rozwiązanie?". Odpowiedź Hrycaka: „Najkrócej dlatego, że Putin tego nie chce", utonęła już w zgiełku kończącego się spotkania.

„Zaszczytne drugie miejsce"

Narrację o finlandyzacji ochoczo podchwyciła rosyjska propaganda. Przy czym od razu w dwóch, pozornie przeciwstawnych kierunkach, co jest charakterystyczne dla Rosjan, znacznie bardziej niż ludzie Zachodu uzdolnionych w dziedzinie jednoczesnej gry na wielu instrumentach. I tak niezliczona liczba komentatorów, i tych z oficjalnych mediów, i „patriotycznych blogerów", rzuciła się atakować koncepcję. Bo jak tak, to niech Ukraina zerwie więzy z Zachodem (będącym w tej optyce współczesnym odpowiednikiem III Rzeszy, z którą w 1944 roku musiała zerwać Finlandia), zdelegalizuje „nazistów" i pozwoli swobodnie działać podporządkowanemu Moskwie odłamowi Cerkwi (odpowiednik legalizacji fińskich komunistów w 1944 roku). I niech Stubbs nie zaćmiewa nam oczu.

Pojawiło się jednak i inne podejście do tematu. Charakterystyczny dla tego nurtu jest, przedrukowany przez czołowy poświęcony sprawom międzynarodowym portal „Rossija w głobalnoj politikie", artykuł Jeffrey'a Roberts'a, historyka, emerytowanego profesora uniwersytetu w Cork (a skądinąd niegdyś działacza Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii).

Roberts cytuje pewną fińską powieść, której bohater mówi, że wprawdzie Związek Radziecki przebiegł linię mety jako pierwszy, ale uparta Finlandia zajęła zaszczytne drugie miejsce. I otwarcie wzywa władze Ukrainy, by – „dopóki nie jest za późno – przyjęły historyczną, śmiałą decyzję: zgodziły się na «zaszczytne drugie miejsce»".

Roberts twierdzi, jakoby wojnę na Ukrainie „można było powstrzymać, tak jak wojnę fińsko-radziecką 1939 roku – Putin tak jak i Stalin wolałby rozwiązanie dyplomatyczne, które odsuwałoby niebezpieczeństwo (dla Rosji)". Mimo że ta szansa została utracona to dziś – jego zdaniem – Ukraina może pójść szlakiem przywódców Finlandii i podjąć odważną decyzję – tak jak ci ostatni w 1944 roku.

> GDYBY UKRAINA ZGODZIŁA SIĘ NA STRATY TERYTORIALNE, ALE DZIĘKI TEMU PRZETRWAŁA JAK KOREA POŁUDNIOWA, TO WŁAŚCIWIE DLACZEGO TO NIE BYŁOBY DOBRE ROZWIĄZANIE?

Helsinki to nie Kijów

Niezależnie od tego, którzy pomysłodawcy i adwokaci idei powtórzenia przez obecny Kijów decyzji Helsinek z 1944 roku kierują się złą wola, a którzy – naiwnością i niewiedzą – trzeba stwierdzić, że szybują ze swymi pomysłami po nieboskłonie krain fantazy. Nie dostrzegają bowiem – albo nie chcą dostrzec – różnic w sytuacji obu stolic, które pomysł o możliwości zreprodukowania przez Ukrainę manewru Finlandii każą traktować podobnie, jak my potraktowalibyśmy pomysł, by Kościuszko w 1794 roku po prostu zawarł z Rosją pokój, taki jaki Rzeczpospolita zawarła z Turcją w roku 1672 w Buczaczu (odstępując jej Podole), i efekt byłby podobny. Nie byłby.

Nie byłby z wielu względów.

Po pierwsze, Finlandia, szczęśliwie dla niej, nie zajmuje na mentalno-sakralnej mapie Rosjan i przede wszystkim samego WWP miejsca nawet przybliżonego do tego, jakie zajmuje na niej Ukraina. „Powiedzieć, że Putin ma na punkcie Ukrainy obsesję, to nie powiedzieć nic" – jak stwierdził prof. Hrycak. Posiadanie Ukrainy – to wciąż jest dla bardzo wielu Rosjan ostateczny sprawdzian własnej mocarstwowości i wręcz własnej tożsamości – bo jeśli nie panujemy w Kijowie, to jakie niby z nas mocarstwo i jacy z nas, u licha, Rosjanie?

Dodajmy, że ewentualne wzięcie w posiadanie Ukrainy wraz z jej potencjałem przemysłowym, choć oczywiście nie uczyniłoby z Rosji podmiotu na poziomie Chin czy USA, to tym niemniej naprawdę przesuwałaby ją mocno w górę we wszystkich rankingach. W szczególności przemysł zbrojeniowy, rozwijany przez ZSRR przede wszystkim w dwóch republikach – rosyjskiej i właśnie ukraińskiej, kiedyś podzielony i na nowo połączony, bardzo znacząco zwiększyłby swoje możliwości.

Ewentualne zajęcie Finlandii nie dałoby Rosji tych możliwości, więc ostatnie groźby Dmitrija Miedwiediewa na temat „likwidacji fińskiej państwowości" Helsinki mogą zbyć wzruszeniem ramion. Kijów zaś nie bardzo.

Po drugie, dwukrotna – najpierw po przełamaniu fińskich umocnień w 1940 roku, a potem latem 1944 roku, gdy ZSRR wygrywał już na wszystkich frontach, w tym fińskim – rezygnacja Stalina czy to z wchłonięcia Finlandii, czy to uczynienia z jej atrapy niepodległości nie wyniknęła

eprasa.pl 47f4bae96f

ani ze spolegliwości fińskich przywódców, ani z chwalebnej skłonności do samoograniczeń Iosifa Wissarionowicza. W obu wypadkach była efektem okoliczności zewnętrznych, ważniejszych dla Kremla od perspektywy zajęcia Helsinek.

W 1940 roku – strachu przed rzeczywiście przygotowywaną (miała w niej skądinąd uczestniczyć polska Brygada Strzelców Podhalańskich) zbrojną interwencją Anglii i Francji, traktujących wtedy ZSRR jako po prostu sojusznika swojego głównego wroga, czyli Hitlera. Związek Radziecki wolał zakończyć awanturę, zanim (a miało się to stać dosłownie na dniach) znajdzie się w wojnie z dwoma ówczesnymi czołowymi supermocarstwami (rzecz, przypomnijmy, wydarzyła się przed militarnym i prestiżowym upadkiem Francji, którego nie spodziewał się nikt).

W 1944 roku natomiast decyzja Rosjan była efektem właśnie dokonanego ładowania aliantów w Normandii. Stalin obawiał się, że Anglosasi mogą zacząć z nim wyścig o to, kto zajmie więcej europejskich krajów. I aby ten wyścig wygrać, potrzebował wzmocnić swoje wojska działające na kluczowych, czyli zachodnim i bałkańskim, kierunkach operacyjnych. A mógł je szybko wzmocnić, przerzucając tam swoje armie, bijące się dotąd przeciw Finlandii. Co było do osiągnięcia jedynie poprzez natychmiastowe zawarcie pokoju – dorżnięcie Helsinek, choć wykonalne, zajęłoby kluczowy z tej perspektywy czas.

Nawiasem mówiąc, przed Stalinem podobną dotyczącą Finlandii decyzję podjął sam Lenin. Bo w 1918 r. w tym kraju, który właśnie wyzwolił się spod rosyjskiego panowania, gorzała wojna domowa między „białymi" a „czerwonymi" Finami. Komuniści byli wtedy tam liczni, silni i popularni. Bolszewicy rosyjscy pomagali fińskim towarzyszom na różne sposoby, ale nie zdecydowali się na jawną interwencję zbrojną w konflikcie, dziejącym się tak blisko Piotrogrodu. Z różnych powodów, ale nie najmniej ważny spośród nich był taki, że również z ich punktu widzenia był to kierunek peryferyjny. Peryferyjność, jak widać, może być zaletą.

To po prostu coś innego

Otóż nie wiadomo o tym, aby istniały jakiekolwiek podobne czynniki, oddziaływujące w podobną stronę na dotyczący Ukrainy proces decyzyjny obecnego moskiewskiego kierownictwa. Kreml nie uważa Ukrainy za kierunek peryferyjny, odwrotnie. Nikt również Moskwie nie grozi wojną. Nie istnieje też żaden (więc tym bardziej – z punktu widzenia Putina ważniejszy) drugi front, którego skuteczne „obsłużenie" byłoby możliwe jedynie dzięki wycofaniu gros wojsk z Ukrainy.

Na skutek wszystkich powyższych czynników szanse, iż kierownictwo kremlowskie zdecyduje się podjąć piłkę z napisem „finlandyzacja", jest znikome. Na tyle znikome – i na tyle wydają się być oczywiste wskazujące na to argumenty – że zasadne staje się pytanie, dlaczego niekompatybilność sytuacji Finlandii '44 i Ukrainy '25 nie jest jasna dla wszystkich?

Sądzę, że niezależnie od tego, iż twórcy rosyjskiej narracji starają się za pomocą tej fałszywej paraleli rozmiękczyć i samych Ukraińców, i wspierających ich ludzi Zachodu, jest tu coś jeszcze. Chodzi mianowicie o to, że wojna trwa już ponad trzy i pół roku, a jej końca, zwłaszcza tryumfalnego dla Zachodu, nie widać (choć warto w tym miejscu przypomnieć, że jeszcze latem 1918 roku, kilka miesięcy przed niemal totalnym zwycięstwem aliantów, nikt nie ważył się orzec, kto ostatecznie wygra, a wielu wcale niegłupich i nie proniemieckich obserwatorów skłaniało się ku tezie, iż będzie to kajzerowska Rzesza). Zarazem narastają świadectwa kumulowania się problemów Kijowa. W tej sytuacji wielu, kierując się tyleż zmęczeniem i charakteryzującym ludzi Zachodu brakiem przyzwyczajenia do dłuższego wytrzymywania niekomfortowej, a wymagającej jakichś nadzwyczajnych wysiłków sytuacji, co obawą o losy Ukrainy, ma podświadomą chęć zakończenia tego koszmaru w jakikolwiek nie katastrofalny sposób.

Chęć to bardzo zrozumiała. Ale zarazem wiodąca na intelektualne i polityczne manowce.

REZYGNACJA STALINA CZY TO Z WCHŁONIĘCIA FINLANDII, CZY TO UCZYNIENIA Z JEJ ATRAPY NIEPODLEGŁOŚCI NIE WYNIKNĘŁA ANI ZE SPOLEGLIWOŚCI FIŃSKICH PRZYWÓDCÓW, ANI Z CHWALEBNEJ SKŁONNOŚCI DO SAMOOGRANICZEŃ IOSIFA WISSARIONOWICZA.

eprasa.pl 47f4bae96f

Proj. K. Karnkowski

Jak wykończyć prawicę

Marcin Darmas

Nad Sekwaną to nagranie miało efekt bomby. Afera dostała nawet własny przydomek, niczym Watergate. „Sprawa Cohen – Legrand" pokazuje czarno na białym mariaż między domeną polityki a polem dziennikarskim, aspirującym przecież do bezstronności i sądów wolnych od wartości. Przyjrzyjmy się nagraniu, od którego wszystko się zaczęło. Widzimy, a przede wszystkim słyszymy, jak tworzy się współczesną politykę z dala od instytucji państwowych. A zatem nie w parlamencie, nie w komisjach ustawodawczych, nie w terenie, w radach regionalnych, blisko obywateli. Lecz w knajpie, w abstrahowaniu od dobra obywateli.

Do takiego spotkania, w takim gronie, wokół takich tematów nie powinno nigdy dojść. Anonimowi autorzy materiału wideo twierdzą, że film został nagrany 7 sierpnia tego roku. Na nagraniu dokonanym z ukrycia widzimy wziętych dziennikarzy i czołowych polityków lewicy. Należy jednak zaznaczyć, że fragmenty zostały zmontowane i pozbawione szerszego kontekstu przez redakcję czasopisma „L'incorect", które opublikowało materiał na swoich łamach. Trend „partyzanckich nagrań" przyszedł ze Stanów Zjednoczonych. I tak amerykańscy aktywiści pod szyldem Project Veritas zainaugurowali swoiste modus operandi: „pułapka wideo" jako broń polityczna. Chodzi o nagrywanie przeciwników ideologicznych z ukrycia, bez uzyskiwania zgód od zainteresowanych. Tylko w ten sposób, twierdzą zwolennicy Project Veritas, uda się

eprasa.pl 47f4bae96f

ukazać zakłamanie polityków i służących im dziennikarzy. We Francji, portal L'Incorrect kopiuje tę receptę: filmować potajemnie, wyrywać z kontekstu oraz zarabiać na kliknięciach internautów.

Wróćmy do „Sprawy Cohen – Legrand". Panowie wydają się rozzuchwaleni swobodą wypowiedzi na tyle, że zapominają o entourage'u i zawiązują egzotyczny, chcąc nie chcąc, polityczny spisek. Mamy właściwie do czynienia z połączeniem fraternizacji reprezentantów władzy parlamentarnej z władzą dziennikarską, towarzyską pogawędkę ze strategicznymi ustaleniami dotyczącymi zbliżających się wyborów prezydenckich w 2027 roku.

A dokładniej panowie głowią się, jak wesprzeć medialnie kandydaturę Raphaëla Glucksmanna do Pałacu Elizejskiego oraz uczynić ją wspólną dla całej lewicy. Nawiasem mówiąc, żona Glucksmanna Léa Salamé również jest dziennikarką we francuskich mediach publicznych. Drugi cel spotkania – rozpocząć kampanię dyfamacyjną wymierzoną w Rachidę Dati, aby zmniejszyć jej szansę w wyścigu do ratusza Paryża.

Nagranie zostało wykonane w eleganckiej knajpie, w siódmej dzielnicy Paryża, na skrzyżowaniu alei Duquesne z aleją de Ségur. Trwa zatem korowód wejść i wyjść. Charakterystyczny gwar bistro właśnie się kończy. Z dużym prawdopodobieństwem dostrzegamy przez okno, przy którym siedzą panowie, wakacyjną kanikułę, turystów w krótkich szortach i podkoszulkach, borowinę ludzką ciągnącą w stronę najbardziej obleganych monumentów francuskiej stolicy.

Po jednej stronie stołu śmietanka socjalistycznego przywództwa: eurodeputowany Pierre Jouvet, odpowiedzialny za strategie elektoralne Partii Socjalistycznej, oraz Luc Broussy, przewodniczący Rady Narodowej tej samej partii. Po drugiej stronie zaś tuzy francuskiego dziennikarstwa. Przede wszystkim Patrick Cohen, gwiazda mediów publicznych, prowadzący poranne rozmowy polityczne na falach France Inter oraz we flagowym programie publicystycznym „C à vous" na publicznym kanale France 5. Cohenowi towarzyszy akolita z tej samej rozgłośni Thomas Legrand, prowadzący audycję o znamiennej nazwie „Głód polityki". Warto również wspomnieć, iż Legrand jest jednym z filarów redakcji „Libération". Tytuł jego ostatniego artykułu na łamach komunizującego dziennika brzmi jak gotowy poradnik: „Aby wygrać wybory prezydenckie w 2027 r., należy redefiniować granice lewicy".

Podczas nagrania Cohen wydaje się nieco apatyczny. To dziwne. W rozmowach z politykami słynie przecież z energicznej dociekliwości. Warto podkreślić, że jest jednym z najbardziej rozchwytywanych i poważanych dziennikarzy, który co roku wysoko lokuje się w rankingach popularności. Irytuje jednak afirmowaną wyższością deontologiczną nad kolegami po fachu. Cohen poucza, miarkuje, rozstrzyga, doradza. Słowem, wobec kolegów wykazuje się protekcjonalizmem oraz paternalizmem. Wspomina jego reprymendy inny tuz francuskiej żurnalistyki Frédéric Taddeï. Dziennikarz ten słynie z zapraszania do swoich programów skrajności zarówno lewicy, jak i prawicy. Cohen publicznie wbijał Taddeïowi szpilki, oświadczając, iż „prowadząc debaty publiczne, ma się obowiązek nie propagować teorii spiskowych bądź nie udzielać głosu chorym umysłom". Cohenowi przylgnął przydomek „arbitra elegancji" rozdającego dobre i złe punkty innym dziennikarzom. Miałby Cohen w tej optyce uosabiać dziennikarstwo wymierające, pełne obiektywizmu, stojące na straży dobra społecznego, ujmujące się za sierotą i wdową.

Peroruje i dominuje w rozmowie z politykami drugi dziennikarz – Thomas Legrand. Na nagraniu lewicowy felietonista konstatuje ostatnie podrygi rapsodycznej prezydentury Emmanuela Macrona. Nie przebiera w słowach, krytykując „domniemane" dokonania obecnego lokatora Pałacu Elizejskiego. Niemniej dla Legranda zasadniczym problemem schedy Macrona nie są ani 3800 miliardów długu publicznego, wzrost niebezpieczeństwa, na który skarżą się Francuzi, spadające standardy edukacji, ani zaniedbania w sektorze publicznym. Kłopotem Francji jest „skrajna prawica, która dominuje głową i ramionami, oraz prawica, która już zjednoczyła się wokół haseł i idei Zjednoczenia Narodowego". Proponuje więc wysoko postawionym interlokutorom lewicy

AMERYKAŃSCY AKTYWIŚCI POD SZYLDEM PROJECT VERITAS ZAINAUGUROWALI SWOISTE MODUS OPERANDI: „PUŁAPKA WIDEO" JAKO BROŃ POLITYCZNA.

eprasa.pl 47f4bae96f

wzmocnienie i federalizację wszystkich socjalistycznych odłamów, a dokładniej „ekologów, socjalistów i byłych członków Nieuległej Francji, ale także komunistów, Raphaëla Glucksmanna i Pascala Canfina". Według Legrand należy postawić na przeciwko Marine le Pen (albo Jordana Bardelli) kontrkandydata umiarkowanego, mogącego przyciągnąć elektorat niezdecydowany i chybotliwy. W tej logice Jean-Luc Mélenchon okazuje się nie być odpowiednim kandydatem dla Legranda i Cohena. Mówią o tym wysoko postawionym reprezentantom Partii Socjalistycznej bez kozery, wprost. Co więcej, kpią z gadatliwości i pewności siebie lidera Nieuległej Francji.

„Problem w przypadku starcia le Pen z Glucksmannem polega na tym, że nie wiadomo, jak zagłosuje centroprawica" – zastanawia się Legrand. A jak zachowają się słuchacze publicznego radia? „Myślę, że celują w Glucksmanna" – przyznaje w końcu felietonista. „Niewiele wiemy o szerokim skrzydle elektoratu centroprawicy i centrolewicy, ale oni słuchają France Inter. I słuchają go masowo". Czyżby Legrand sugerował, że publiczne radio zadba o odpowiednie nastawienie swoich słuchaczy? Sugestia wydaje się dosyć oczywista. Pierre Jouvet przytakuje dziennikarzowi. Potwierdza, że kandydatura Glucksmanna jako reprezentanta wszystkich ugrupowań lewicowych jest właściwie już przesądzona.

Na drodze do Pałacu Elizejskiego stoją jeszcze wybory regionalne. Dyskusja ma coraz wyższą temperaturę. Mowa przecież o Zjednoczeniu Narodowym. Panowie nie mogą się nadziwić aktywności w terenie zwolenników Marine le Pen. Niesmaczne i wydrowate komentarze o oddolnych i społecznych inicjatywach w ustach lewicy brzmią co najmniej kuriozalnie. Pierre Jouvet ubolewa, że jak grzyby po deszczu powstają stowarzyszenia sprzeciwiające się budowaniu wiatraków albo wspierające kulturę i dziedzictwo regionalne. Owe ruchy nie kryją swojego poparcia dla Zjednoczenia Narodowego. Odraza do politycznych przeciwników wykracza poza partię le Pen. W toku deliberacji panowie wyrażają obawę przed kandydaturą na fotel prezydenta Paryża Rachidy Dati, minister kultury w rządzie François Bayrou i byłej bliskiej współpracowniczki Nicolasa Sarkozy'ego. Pierwsze skrzypce gra znowu Thomas Legrand: „Czy w związku z [kandydaturą – przyp. red.] Dati Paryż jest zagrożony?". Jouvet zwraca uwagę, że zmiany w ordynacji mogą grać na korzyść prawicowej polityki.

NIESMACZNE I WYDROWATE KOMENTARZE O ODDOLNYCH I SPOŁECZNYCH INICJATYWACH W USTACH LEWICY BRZMIĄ CO NAJMNIEJ KURIOZALNIE.

Legrand wówczas rzuca bez ogródek: „Jeśli chodzi o Dati, zrobimy z Patrickem [Cohenem – przyp. red.] w France Inter, co trzeba". Zdanie wtrącone mimochodem zdradza strategię i jest ona bardziej niż oczywista: wykorzystać media publiczne finansowane z pieniędzy podatników, aby zniszczyć Rachidę Dati.

W obliczu oskarżeń o lewicowe skażenie polityczne Radia France jeden z jej dyrektorów Vincent Meslet zauważa, że „pluralizm jest wszechobecny w naszych audycjach. Znajdujemy go w różnorodności poruszanych tematów i wyrażanych opinii". Wspomina, że przy takiej ilości dziennikarzy różnorodność rodzi się samoistnie: „Mamy około pięćdziesięciu różnych głosów na falach France Inter, France Info i France Culture". Czy zatem France Inter jest rzeczywiście pluralistyczną stacją radiową? W maju 2024 roku sondażownia Thomas More zbadała przez pięć dni, stosując metodologię podważaną przez Radio France, poglądy ideologiczne uczestników programów publicznego nadawcy: tylko 4% należało do obozu liberalno-konserwatywnego (do którego przyporządkowano Zjednoczenie Narodowe) w porównaniu z 32% wśród socjalistów i postępowców.

W 2015 roku Vincent Meslet w rozmowie z cytowanym wcześniej dziennikiem „Libération" wyznał, że zawsze głosował na lewicę. Poza tym już jako młody człowiek widział, że „aby zmienić społeczeństwo, lepiej pracować w telewizji, niż zostać wybranym w wyborach".

„ABY ZMIENIĆ SPOŁECZEŃSTWO, LEPIEJ PRACOWAĆ W TELEWIZJI, NIŻ ZOSTAĆ WYBRANYM W WYBORACH".

eprasa.pl 47f4bae96f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Upokorzenie Trzaskowskiego

Niedawna sesja Rady Warszawy ws. wprowadzenia nocnej prohibicji nieoczekiwanie zamieniła się w upokorzenie prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego. W dodatku przy cichej akceptacji premiera Donalda Tuska. Tylko czy ktokolwiek w tej sprawie może czuć się wygranym?

Temat nocnego zakazu sprzedaży alkoholu nie jest nowy. W związku z tym pozostawię na boku argumenty zwolenników i przeciwników takiego rozwiązania, bo nie o nie de facto chodzi. Stało się ono bowiem wyłącznie pretekstem do wewnętrznych porachunków w Platformie Obywatelskiej. I to porachunków, które po raz pierwszy mogliśmy oglądać publicznie. Sesja Rady Warszawy wyraźnie pokazała, kto w stolicy rozdaje karty. I nie jest to na pewno prezydent miasta.

Rafał Trzaskowski wyszedł z tej awantury poturbowany i upokorzony. Nie przez opozycję, nie przez radnych PiS, ale przez własne zaplecze. Na nic się zda teraz narracja o „kompromisie", bo to wyłącznie robienie dobrej miny do złej gry. Platforma zamiast poprzeć swojego prezydenta i wiceprzewodniczącego całej partii, wystawiła go do wiatru. Marcin Kierwiński, szef MSWiA, który jest jednocześnie szefem warszawskiej PO, może triumfować. Nie dość, że postawił na swoim, to dodatkowo pokazał Trzaskowskiemu, kto naprawdę rządzi w Warszawie. A wszystko to przy trzaskających kręgosłupach radnych warszawskiej PO.

Trzaskowski, jeszcze niedawno pretendujący do roli lidera całej opozycji i prezydenta Polski, musiał patrzeć, jak radni jego partii tańczą do melodii zagranej przez Kierwińskiego. Wszystko to przy cichej akceptacji premiera Donalda Tuska, który lada moment odbierze Trzaskowskiemu funkcję wiceprzewodniczącego KO.

Bilans tej politycznej awantury jest dla Platformy druzgocący. Nie tylko zignorowała ona głos mieszkańców, lekarzy i policji, ale sprawiła, że temat przeniósł się na szczebel ogólnopolski. Lewica i Polska 2050 poczuły bowiem krew i już złożyły własne projekty w tej sprawie. I nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, to będzie to kolejne pole sporu w trzeszczącej koalicji.

Nie ulega jednak wątpliwości, że największym przegranym jest Rafał Trzaskowski, który został upokorzony na oczach całej Polski przez swoich radnych w sprawie własnego projektu. Kierwiński zrobił z Trzaskowskim to, co Donald Tusk robi od lat z każdym potencjalnym konkurentem w Platformie – pokazał mu miejsce w szeregu. I to miejsce jest bardzo nisko. Obraz Trzaskowskiego sprowadzonego do roli marionetki we własnej Radzie zostanie z nim na długo. Nie ma bowiem większego blamażu niż przegrana na własnym terenie. Pytanie tylko, czy Warszawa jest jeszcze terenem Trzaskowskiego?

eprasa.pl 47f4bae96f

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Bolesne otwarcie oczu

Zdzisław Krasnodębski

Gdy wybuchł kryzys finansowy, Niemcy obwołano hegemonem Europy. Ten największy kraj Europy miał swoim rozsądkiem i pieniędzmi wyprowadzić zadłużone kraje europejskiego Południa z kryzysu. Tak wówczas pisano i mówiono w czołowych mediach świata zachodniego. Także ówczesny – i obecny – minister spraw zagranicznych Polski pospieszył do Berlina z zapewnieniami, że Niemcy są narodem „niezbędnym" (nie podał jednak, jakie uważa za zbędne).

Oczywiście Niemcy – ustami swoich elit – skromnie się opierały przed tą przywódczą rolą, krygowały się, chowały się za partnerstwem z Francją, zasłaniały się wstydliwie listkiem figowym Trójkąta Weimarskiego, ale w istocie szybko popadły w upojenie i samouwielbienie, które rosło z roku na rok. Angela Merkel była przedmiotem powszechnej admiracji. Niemcy wyzbywały się politycznej powściągliwości, stały się preceptorem Europy, w końcu zaś wyniesiono Ursulę von der Leyen na tron przewodniczącej Komisji Europejskiej.

Zaufanie obywateli Niemiec do swoich polityków i do mediów było ogromne. O godzinie ósmej wieczorem rodziny niemieckie zasiadały przed telewizorami, by obejrzeć „Tagesschau", wieczorne wiadomości programu pierwszego, i już po kilkunastu minutach miały satysfakcjonujące poczucie, że zostały obiektywnie wszechstronnie poinformowane o sytuacji w kraju i na świecie.

Większość obywateli tego państwa żyła w błogim przeświadczeniu, że ich kraj jest wzorem dla innych – przykładem stabilnego systemu politycznego, opartego na konsensie, że daje przykład humanizmu, tolerancji, pokoju, trzeźwości politycznej, masowego dobrobytu. Pojawiające się tu i ówdzie problemy nie przysłaniały tego optymistycznego obrazu, w którym ich usilnie utwierdzali rodzimi i zagraniczni politycy oraz główne media świata zachodniego. Ci, którzy uważali inaczej, uchodzili za ekstremistów i wegetowali na marginesach życia publicznego. Każdy ostrzejszy krytyk czy nawet tylko odważniejszy sceptyk lądował wśród politycznych i kulturowych odpadów. Tylko prywatnie, ściszonym głosem wyrażono czasami wątpliwości czy – na przykład – polityka imigracyjna i azylowa Angeli Merkel rzeczywiście jest racjonalna.

Niemcy dali się przekonać, że zadaniem ich kraju jest przewodzić Europie. Po to, by prowadzić ją we właściwym kierunku i nieść pomoc innym, nieradzącym sobie tak dobrze z problemami. Gdy kiedyś, przed laty, zapytałem swoich studentów, po co Unia Europejska potrzebna jest Niemcom, uzyskałem taką właśnie odpowiedź – „Po to, by pomagać innym".

Ta pomoc oznaczała dyscyplinowanie innych, kiedy trzeba było skorygować ich politykę. Jeśli bowiem nie wszędzie było tak dobrze, jak w Niemczech, to z powodu błędów popełnianych przez polityków tych krajów i wad ich obywateli. Południe Europy popadło w kryzys, bo w tych krajach oszukiwano w statystykach, prowadzono życie ponad stan i niezbyt przykładano się do pracy. Ale Grecja czy Włochy to takie piękne kraje, więc mogły liczyć na pewną sympatię i nieco pobłażliwości, jeśli

TYLKO PRYWATNIE, ŚCISZONYM GŁOSEM WYRAŻONO CZASAMI WĄTPLIWOŚCI CZY – NA PRZYKŁAD – POLITYKA IMIGRACYJNA I AZYLOWA ANGELI MERKEL RZECZYWIŚCIE JEST RACJONALNA.

eprasa.pl 47f4bae96f

stosowały się do zaleceń. Co innego, gdy chodziło o „Wschód", gdzie zgodnie z utrwalonymi historycznie przekonaniami zawsze czai się zło, bieda, głupota i nacjonalizm. To te cechy nie pozwalały Polakom czy Węgrom docenić zalet społeczeństwa wielokulturowego i zrozumieć w pełni korzystny proces integracji europejskiej, umożliwionej przez szczodre Niemcy. Obywatele tych państw nie przeszli koniecznego procesu „przezwyciężania przeszłości", nie wyzbyli się narodowych uprzedzeń, negowali swój udział w Holokauście, popadali w rusofobię. Nie doznawszy zbawiennych efektów rewolty 1968 roku, zaniedbywali się w sekularyzacji i obyczajowej innowacyjności. Obok światłych, proeuropejskich polityków, takich jak Donald Tusk, w krajach tych co i rusz pojawiały się ciemne postacie, które niespodziewanie wygrywały wybory, mimo usilnej działalności oświatowej licznych niemieckich fundacji i mediów niemieckich wszechobecnych w tym regionie.

Trudno było nie zazdrościć niemieckim politykom takich pełnych ufności i zdyscyplinowanych obywateli, którzy co najwyżej martwili się czasem, czy wspomaganie innych krajów i ratowanie euro nie za bardzo obciąża ich finansowo.

Ale to już przeszłość. Obecnie media publiczne są coraz bardziej krytykowane w Niemczech jako zideologizowane, jednostronne, opanowane przez lewicę i zielonych. Rozpoczęła się debata nad ich finansowaniem, bo coraz więcej obywateli nie chce na nie płacić. Wielokulturowość na co dzień doświadczana na ulicach miast sprawia, że zaczęto się domagać postawienia tamy migracji. Wielu Niemców dopiero teraz zaczyna dostrzegać, że poddawani byli nieustannej obróbce ideologicznej, na przykład przez niezliczoną ilość nadawanych w telewizji publicznej kryminałów sławiących nieheteroseksualne związki miłosne. Teraz już widzą, że do teatru czy do opery nie da się chodzić, bo każdy reżyser ma ambicję przerabiania klasyki dostosowania jej do swego intelektualnego i etycznego poziomu, do swoich fobii i upodobań.

Obywatele moralnego mocarstwa dowiedzieli się także, że nie tylko Grecy i Namibijczycy, ale także Polacy wcale nie uważają, że Niemcy dobrze rozliczyły się ze swojej przeszłości. Po ostatnich politycznych utarczkach do świadomości przeciętnego obywatela dotarło wreszcie, że proces mianowania sędziów Federalnego Trybunału Konstytucyjnego to targ między partiami politycznymi. A przecież jeszcze tak niedawno interesowano się tylko niezależnością polskiego sądownictwa, a nie własnego.

Niemcy zauważyli także, że ich kraj jest zacofany cyfrowo, że pociągi się notorycznie spóźniają, centra wielu miast upadają, że niemiecki przemysł samochodowy nie radzi sobie z konkurencją. Dowiedzieli się, że Niemcy nie byłyby w stanie same się obronić, gdyby tak kiedyś ceniony i fetowany w tym kraju Władimir Putin, przyjaciel kanclerza Gerharda Schrödera, postanowił zaatakować Europę. Dopiero teraz ukazują się książki i artykuły pokazujące ogrom infiltracji Niemiec przez Rosję, co do 2022 roku nikogo specjalnie nie interesowało.

Dzisiaj dla wielu Niemców staje się jasne, że system partyjny i układ sił politycznych uniemożliwia przeprowadzenie dogłębnej zmiany politycznej, której tak by chcieli. Friedrich Merz, od którego wiele oczekiwano, jest uzależniony od swojego partnera koalicyjnego; gwałtownie traci więc na popularności, a AfD przegoniła w sondażach CDU.

Niemcy przejrzeli na oczy i poraziło ich to, co zobaczyli. Czy zajmą się teraz swoim krajem? To chyba płonne nadzieje, bo niemieccy politycy znowu ogłosili, że Niemcy będą przywódczą potęgą w Europie.

NIEMCY PRZEJRZELI NA OCZY I PORAZIŁO ICH TO, CO ZOBACZYLI. CZY ZAJMĄ SIĘ TERAZ SWOIM KRAJEM?

DOPIERO TERAZ UKAZUJĄ SIĘ KSIĄŻKI I ARTYKUŁY POKAZUJĄCE OGROM INFILTRACJI NIEMIEC PRZEZ ROSJĘ, CO DO 2022 ROKU NIKOGO SPECJALNIE NIE INTERESOWAŁO.

eprasa.pl 47f4bae96f

KULTURA

Czytaj też:
„Zamach” z dedykacją 52

Biorę odpowiedzialność ZA SŁUCHACZY

– Śpiewam o tym, co mnie trapi w świecie, pod podszewką radosnych kompozycji. Muzyka sama w sobie jest energetyczna, natomiast przekaz jest mroczny – mówi **Daniel Goral**, wokalista, autor tekstów, kompozytor, lider zespołu Ikarus Feel, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. arch. D. Gorala

– Przemysł muzyczny w Polsce jest jak lot Ikara?
– Na pewno momentami jest zgubny.

– Co Cię w nim kręci, skoro rozpocząłeś przygodę z muzyką?
– To, że mogę wyrazić siebie. To jest dla mnie atrakcyjna droga i przygoda.

– Nie nagrywasz wesołej muzyki. Dlaczego?
– Jest dużo bólu. Śpiewam o tym, co mnie trapi w świecie, pod podszewką radosnych kompozycji. Muzyka sama w sobie jest energetyczna, natomiast przekaz jest mroczny.

– W którym roku się urodziłeś?
– 1999.

– Czujesz się głosem pokolenia Z?
– Nie mnie to oceniać. Dostajemy dużo pozytywnych informacji od naszych słuchaczy, jest to bardzo motywujące. Cieszę się, że są ludzie, którzy czują to samo, co my. Natomiast nie jesteśmy na tyle dużym zespołem, żeby można było nas nazwać głosem pokolenia.

– Jak Ty jako przedstawiciel pokolenia Z przekonasz mnie, milenialsa, do swojej muzyki?
– Rzeczy, których dotykamy, nie są zarezerwowane wyłącznie dla naszego pokolenia. Depresja, problemy z tożsamością – z tymi problemami boryka się każdy niezależnie od wieku. W gorszych chwilach w życiu możemy być przystanią. Możemy być pomocą, do której słuchacz może się odnieść.

eprasa.pl 47f4bae96f

– Wasza twórczość może być formą muzykoterapii?
– W jakimś stopniu tak. Dla mnie, dla twórcy, to jest forma terapii. Tak jak wcześniej mówiłem, otrzymuję sygnały od publiczności, że utożsamiają się z naszymi piosenkami. A nawet, że uratowaliśmy komuś życie.

– Jak się wtedy poczułeś, kiedy otrzymałeś taki komunikat od słuchacza?
– Jest to bardzo duża odpowiedzialność. Jeżeli już coś takiego się słyszy albo czyta, to kończy się zabawa i żart. W pewnym sensie jesteśmy już odpowiedzialni za czyjeś życie. Jest to duże brzemię i byliśmy tego świadomi, wchodząc w poważne tematy. Jesteśmy na to przygotowani i bierzemy za to odpowiedzialność. Muzyka rozrywkowa jest dobrym medium do tego, żeby ludziom przekazywać ważne informacje.

– Brzmienia gitarowe wracają obecnie do łask?
– Tak. Fala elektronicznego popu powoli się kończy. Mieliśmy w Polsce różne etapy muzyczne.

– Widzę, że masz bluzę z pokémonem. Wychowałaś się na tej kreskówce?
– Tak [śmiech]. Bardzo lubiłem Bulbasaura.

– Zaśpiewałbyś nową piosenkę do czołówki „Pokémonów" z Januszem Radkiem?
– No pewnie! Na sto procent [śmiech]! Robimy to! Janusz Radek jest genialnym wokalistą.

– Kto jest statystycznym słuchaczem Twojego zespołu?
– Są to głównie studenci. A jeżeli chodzi o koncerty, to jest różnorodnie.

– Obrażę Cię tym, że Ikarus Feel ma bardzo juwenaliową stylistykę?
– Nie. Jak zaczynałem przygodę z muzyką, to chodziłem na juwenalia. Słuchaliśmy Comy, Happysadu.

– Skąd pomysł na współpracę z Tymkiem przy singlu „Antydepresanty"?
– Przecięliśmy się na paru koncertach. Szukaliśmy gościa do tego utworu i uznaliśmy, że zapytam Tymka, czy chce z nami współpracować. Cóż szkodzi zapytać? Przecież nic nie stracimy. No i się zgodził.

– Masz w sobie pierwiastek ekstrawertyzmu?
– Niezbyt [śmiech].

– Doceniam Cię za szczerość.
– Dziękuję bardzo.

– Masz utwory, które będą dobre na pierwszą randkę?
– Zdecydowanie tak! Polecam „Śnieżne dni" i „Co tchu".

– Twoja ukochana Paulina jest najbardziej wymagającym recenzentem Twoich utworów?
– Jak coś jest słabe, to mówi, że takie jest. Czasami mówi gorzej, ale nie wiem, czy mogę to tutaj powiedzieć [śmiech].

– Jakiej muzyki słuchają Twoi rówieśnicy?
– Różnorodnej. Nie ma jednej stałej stylistyki.

– Chcesz nieść prawdę przez swoją muzykę?
– Tak. Zależy mi na prawdziwych emocjach.

RZECZY, KTÓRYCH DOTYKAMY, NIE SĄ ZAREZERWOWANE WYŁĄCZNIE DLA NASZEGO POKOLENIA.

PRZEMYSŁ MUZYCZNY JEST MOMENTAMI ZGUBNY.

Ikarus Feel

to zespół z Lublina składający się z Daniela Gorala (wokal), Czarka Dziadosza (perkusja) i Bartłomieja Cioczka (gitara), działa na polskiej scenie muzycznej od 2019 roku. Chłopaki od początku pracują z Arkiem Koperą z Black Kiss Records, z którym współpracuje Dawid Podsiadło, Daria Zawiałow i innymi artystami... Ich wcześniejsze dokonania, w tym 6 singli i debiutancki album, zyskały uznanie zarówno wśród krytyków, jak i publiczności. Wystąpili na Festiwalu w Jarocinie w 2021 roku, gdzie zdobyli nagrodę publiczności. Zespół eksploruje różne gatunki rocka, takie jak rock, rock alternatywny i indie rock. Single „Mayday", „Sleepless" czy „Antydepresanty" zapowiadają drugi album zespołu, który obiecuje być jeszcze bardziej ekscytujący i przełomowy niż ich poprzednie dokonania.

eprasa.pl 47f4bae96f

FILM

„Zamach” z dedykacją

W przypadku głośnych i wyczekiwanych premier zawsze dba się bardzo o to, by przed pierwszymi pokazami dla dziennikarzy do publiczności nie dotarło zbyt wiele informacji. „Zamach na papieża” Władysława Pasikowskiego zapowiadał, co prawda, oficjalny zwiastun i udostępniony krótki fragment filmu, będący ukłonem w stronę fanów kultowego filmu „Psy” tego samego reżysera, jednak **najwięcej o nowej produkcji mówiła** nam krótka adnotacja, zamieszczona na branżowym portalu „Film Polski”. „Barwny, 123 min. [...] Film dedykowany Sinéad O’Connor”. Skoro obraz o zamachu na Karola Wojtyłę dedykowany jest artystce, która wsławiła się lata temu podarciem jego zdjęcia, nie należy spodziewać się opowieści wpisującej się w kult św. Jana Pawła II. Delikatnie mówiąc.

Fot. kadr z filmu

Krzysztof Karnkowski

Pierwsza afera czy raczej aferka związana z filmem Pasikowskiego nie dotyczyła jednak kwestii podejścia do papieża Polaka, choć to temat przesądził o tym, że przybrała ona skromne rozmiary: o użytą w jednej ze scen wersję piosenki „Jest taki samotny dom” pokłócili się Krzysztof Cugowski i Tomasz Zeliszewski, dokładniej poszło o kwestię autorstwa, którego po latach Cugowski odmawia Budce Suflera, a Zeliszewski – Cugowskiemu. „Z informacji, które otrzymałem – pisze Zeliszewski – wynika, że to Ty kategorycznie zablokowałeś obecność w filmie oryginalnej wersji «Jest taki samotny dom», twierdząc, że na żadną inną oprócz swojej solowej nie wyrazisz zgody. Wdowa po Romku [Romualdzie Lipce, kompozytorze utworów Budki Suflera – przyp. K.K.) tylko z uwagi na szacunek do reżysera, tematyki filmu oraz patową sytuację, w jakiej postawiłeś producentów, wyraziła zgodę na publikację takiej wersji kompozycji swojego męża”. Cugowski oświadczeń dawnego kolegi nie komentował.

W hołdzie dla samego siebie

Podejrzewam jednak, że jeśli komunikat w postaci dedykacji nie dotrze do części publiczności przed seansami, spory dawnych kolegów z popularnego zespołu mogą być mniejszym problemem od wzburzenia pewnej części katolickiej widowni. Tu zresztą widać różnicę interesów między producentami, dystrybutorami a twórcą. Temu ostatniemu, zwłaszcza jeśli ma ugruntowaną pozycję i uznany dorobek, nie musi zależeć już na maksymalnym poszerzeniu widowni. Jednak dla tych, którzy w film włożyli pieniądze, zapewne optymalne byłoby, gdyby udało się w kinach zgromadzić i fanów postaci Franza Maurera, i antyklerykałów, i licznych przecież wiernych, dla których Jan Paweł II pozostaje legendą i wciąż żywym wspomnieniem. Nie będzie to jednak łatwe, bo chociaż komunikatów Pasikowski w filmie zawiera wiele, akurat ten jest dość konkretny. – Na końcu zostaje tylko sumienie, przed którym Ojciec Święty nie

eprasa.pl 47f4bae96f

CHOCIAŻ KOMUNIKATÓW PASIKOWSKI W FILMIE ZAWIERA WIELE, AKURAT TEN JEST DOŚĆ KONKRETNY. „NA KOŃCU ZOSTAJE TYLKO SUMIENIE, PRZED KTÓRYM OJCIEC ŚWIĘTY NIE UCIEKNIE”.

ucieknie – mówi więc grany przez Bogusława Lindę stary komunistyczny agent Bruno. On sam zresztą nie umknie mu również, co tworzy główną oś filmu i pozwala odczytywać go jako coś więcej niż tylko kolejną odsłonę opowiadanej przez reżysera i jego ulubionego aktora opowieści. Wrócimy do tego na końcu tego artykułu.

„Zamach na papieża” Władysław Pasikowski zrobił, jak się zdaje, przede wszystkim dla siebie (tę tezę wzmacnia również nietypowa dla jego twórczości pogłębiona, choć trochę banalna, warstwa duchowa, o której później), trochę też dla Lindy, z którym ponoć w tak dużym wymiarze współpracuje po raz ostatni, a także dla fanów swojej twórczości. Tych mniej krytycznych i tych, którzy z pewnym rozczarowaniem przyjęli trzecią, niedźwigającą ciężaru legendy dwóch pierwszych filmów część „Psów”. Nowy film ogląda się bowiem trochę jak „tribute to Pasikowski”, przegląd znanych już scen, postaci i pomysłów lub bardzo mocnych nawiązań do nich. Już we wspomnianej scenie otwarcia akcji, będącej też internetową przystawką dla widzów, możemy zobaczyć komisję weryfikacyjną, niczym w „Psach”, tyle że tym razem to Linda znajduje się po drugiej stronie stołu i przepytuje chętnego na kartę wędkarską. Podobnych nawiązań jest więcej, nie zawsze zresztą do tych bardziej udanych filmów reżysera, bo i tropy z przerysowanego „Pokłosia” można tu wypatrzeć. Bohater grany przez Lindę jest legendarnym strzelcem, weteranem wielu operacji wojskowych komunistycznych służb, chcącym spokojnie dożyć swoich dni po otrzymaniu wiadomości o terminalnej, dającej mu tylko dwa miesiące życia chorobie. Bruno

eprasa.pl 47f4bae96f

w towarzystwie znanej mu z pracy poczciwej prostytutki jedzie na górską wieś, gdzie zagłębia się w świat lokalnej, komunistyczno-milicyjnej patologii. Chcąc nie chcąc, zaczyna wprowadzać tam swoje porządki, rozwiązuje trapiącą miejscowych zagadkę kryminalną i jest w tym wszystkim bezkompromisowy. Czego miałby się bać, skoro i tak czeka już tylko na wykonanie wyroku? Co najwyżej sumienia, które jakoś łata, próbując po swojemu zrobić przed śmiercią coś dobrego.

„ZAMACH NA PAPIEŻA" WŁADYSŁAW PASIKOWSKI ZROBIŁ, JAK SIĘ ZDAJE, PRZEDE WSZYSTKIM DLA SIEBIE, TROCHĘ TEŻ DLA LINDY, A TAKŻE DLA FANÓW SWOJEJ TWÓRCZOŚCI.

Stare historie

Dopada go jednak przeszłość i my też na chwilę się do niej przenieśmy. Karol Wojtyła przez komunistyczną bezpiekę rozpoznany został już u progu swego kapłaństwa, a kolejne lata jego posługi wiązały się z zacieśnieniem wokół niego pętli służb. Bardzo dobrze historię tę pokazał film „Figurant" w reżyserii Roberta Glińskiego, pokazujący tę grę z punktu widzenia młodego, zatracającego się w źle funkcjonariusza SB. Relacje komunistycznej władzy z Kościołem w dużej części interesującego nas okresu pokazuje też film Michała Kondrata „Prorok" skupiający się na relacjach władzy komunistycznej z innym wielkim polskiego Kościoła, błogosławionym prymasem Stefanem Wyszyńskim („Prorok" dostępny jest na Netfliksie, „Figuranta" wciąż jeszcze zobaczyć można w serwisie VOD TVP). Po wyborze na Stolicę Piotrową Wojtyła staje się obiektem zainteresowania już nie tylko Polaków, ale i służb całego bloku wschodniego, a obowiązująca je instrukcja z Moskwy z 13 listopada 1979 roku zezwala na wszelkie, daleko wykraczające poza zwykłą dyfamację działania. Nic więc dziwnego, że gdy 13 maja 1981 roku doszło do zamachu na życie papieża, podejrzenia skierowały się ku tajnym służbom z bloku komunistycznego. W śledztwie prowadzonym po zatrzymaniu tureckiego zamachowca Mehmeta Alego Ağcy pojawiały się ślady aktywności służb bułgarskich i sowieckich, a po latach jednego z odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Jana Pawła II gwardzistów zdemaskowano jako agenta STASI. Jednak włoski wymiar sprawiedliwości nie miał woli lub możliwości pełnego wyjaśnienia sprawy i ostatecznie nie wykazano żadnych związków Ağcy ze służbami, nie podjęto też tematu po 1989 roku, gdy można było przeprowadzić odpowiednie badania w komunistycznych archiwach, a później, być może, również przesłuchania zaangażowanych funkcjonariuszy. Pasikowski porusza się więc w gąszczu prawdopodobnych domysłów, do tropu sowieckiego i bułgarskiego dodając od siebie Polaków (którzy przecież musieli być w tym wszystkim obecni, agentów i nielegałów w Watykanie mieliśmy wielu, co pokazuje przykład niesławnego Tomasza Turowskiego) i na tym budując własną, fikcyjną historię, w której Bruno napisze sobie inną rolę, niż przewidzieli dla niego niesympatyczni koledzy ze służb.

PASIKOWSKI PORUSZA SIĘ W GĄSZCZU PRAWDOPODOBNYCH DOMYSŁÓW, DO TROPU SOWIECKIEGO I BUŁGARSKIEGO DODAJĄC OD SIEBIE POLAKÓW.

Dwójmyślenie i dwie prędkości

Przez większą część czasu akcja filmu toczy się niespiesznie, a stylowe zdjęcia i taka też muzyka potęgują wrażenie, że oglądamy film, który powstał w epoce, którą pokazuje. Że tak nie jest, widać głównie po bardzo brutalnym pokazaniu zepsucia i warszawskich wojskowych ubeków (tym razem trudno Pasikowskiemu zarzucić, że romantyzuje bezpiekę, z wyjątkiem oczywiście głównego bohatera) i lokalnej czerwonej arystokracji. Komuniści, zarówno mundurowi, jak cywilni, są brutalni, prymitywni i odrażający. I – co dla Pasikowskiego musi być bardzo poważnym zarzutem – antysemiccy. Wątek antysemityzmu w PRL przewija się przez opowieść nie rzadziej niż wstawki dotyczące problemu pedofilii w Kościele. Z tą drugą Bruno zetknął się przez brata, za sprawą którego pierwszy raz jako bardzo młody człowiek przelał krew i sprawą którego bezskutecznie próbował zainteresować Kościół. Oba te tematy niejako ustawią całe życie bohatera i jego ostatnie tygodnie. Jednak przy okazji sportretowania wysoko postawionych komunistów i lokalnej czerwonej sitwy dostajemy motyw będący według mnie wielką wartością dodaną „Zamachu na papieża". To obraz przenikania się w mentalności większości tych drugoplanowych bohaterów katolickiego wychowania i nowej, materialistycznej moralności, obecnego przecież w życiu klasy rządzącej PRL „dwójmyślenia", tu czasem zyskującej komediowy wymiar – jak w mojej ulubionej scenie filmu, gdzie wysoko postawiony oficer wywiadu tłumaczy, czemu karmi ptaki chlebem. I tu dochodzimy do głównego problemu, jaki mam z tym filmem. To, co jest dodatkiem do dania głównego, a więc obraz PRL czy dorzucona (według części krytyki na siłę) lokalna historia kryminalna, przekonują mnie o wiele bardziej

eprasa.pl 47f4bae96f

niż rozpędzająca się główna opowieść. Ta razi momentami dość toporną ideologią i schematyzmem. Tak, jak dedykacja dla O'Connor w końcowych napisach. Bo choć Pasikowski potrafi wymykać się schematom myślowym zwłaszcza dzisiejszej prawicy i lewicy, w sprawie Kościoła i papieża wydaje się jednak wierny linii. Linii, która każe mówić Brunonowi o papieskim sumieniu.

Od pewnego momentu opowieść jednak wyraźnie przyspiesza, wręcz pędzi, najpierw przez ulice, gdzie Bruno mija się z czekającym na niego oficerem, by ratować jeszcze życie skrzywdzonego dziecka i – jakże by inaczej – zrobić jeszcze trochę po swojemu rozumianego porządku w podgórskim, godnym filmów Smarzowskiego piekiełku, i później, wraz z pociągiem, który gna w stronę Watykanu, placu św. Piotra i przełomu w historii świata. I wtedy film naprawdę zaczyna wciągać i wznosi się na wyższy poziom, zarówno sensacji, jak i ironii czy wreszcie wspomnianej już wyżej obyczajowej obserwacji. Niestety, na końcu musi jednak stać się znów przyciężkim, specyficznym moralitetem reżysera, który bardzo chciałby kolejny raz wszystkim się narazić – i prawicy, i lewicy. Co jednak ciekawe, na konferencji prasowej podczas festiwalu w Gdyni, na której zresztą Pasikowski w ogóle się nie pojawił, to Bogusław Linda przyznał się do autorstwa granej przez siebie postaci. – Po prostu poprosiłem Władysława, żebym mógł zabić papieża – opowiadał aktor – myślałem o wszystkich świętościach polskich, myślałem o tym, w czym grałem, że przez wiele lat byłem zawsze takim aktorem, który np. działał przeciw komunizmowi, więc pomyślałem, że tym razem warto zadziałać przeciwko papieżowi.

Ocenę pozostawiam Czytelnikom, jednak wypowiedź ta nie wydaje mi się zbyt fortunna.

„ZAMACH NA PAPIEŻA" MOŻEMY ODCZYTAĆ JAKO HISTORIĘ WALKI DOBRA ZE ZŁEM, RÓWNIEŻ ROZGRYWAJĄCEJ SIĘ W DUSZY SAMEGO BRUNONA. NIE ZAWSZE PRZEZ NIEGO WYGRYWANEJ.

Inne spojrzenie

Co jednak z sumieniem głównego bohatera, a może i samego reżysera? Krytyk filmowy Łukasz Adamski zwraca uwagę na to, że chociaż film ewidentnie jest wymierzony w Kościół katolicki i Jana Pawła II, którego twórca oskarża o zaniechania w kwestii pedofilii w Kościele, równocześnie Pasikowski zdaje się według Adamskiego mówić, że Boga w jakiejś formie poszukuje, choć samej instytucji Kościoła nie znosi. – Ten film jest hołdem złożonym samemu sobie i postaci Franza Maurera, ale zarazem pierwszym dziełem Pasikowskiego, które naprawdę poważnie traktuje wątek duchowy i moralny konflikt. W „Psach" Maurer był rozdarty między maczystowskim pojęciem przyjaźni i honoru a lojalnością wobec komunistycznego reżimu. Tutaj konflikt jest głębszy – dotyczy winy, odpowiedzialności i poszukiwania Boga. Gdybym miał to streścić jednym zdaniem, to podejście Pasikowskiego w tym filmie brzmi jak krzyk: „Boże, k..., bądź!".

Co na to powiedziałby sam reżyser, tego się pewnie nie dowiemy. Pasikowski rzadko udziela wywiadów. Jednak jest faktem, że „Zamach na papieża" możemy odczytać jako historię walki dobra ze złem, również rozgrywającej się w duszy samego Brunona. Nie zawsze przez niego wygrywanej. Kiedy towarzysząca mu prostytutka zapewnia, że będzie się za niego modlić, bohater Lindy musi wykpić to w charakterystyczny dla Pasikowskiego sposób. Czy więc dobro w tej opowieści wygrywa? Nie sądzę, by odpowiedź na to pytanie pogodziła widzów, na pewno jednak będzie o „Zamachu na papieża" głośno. Natomiast na film, który opowie nam coś o zamachu z 13 maja 1981 r., jeszcze pewnie poczekamy.

„Zamach na papieża", reżyseria, scenariusz: Władysław Pasikowski, obsada: Bogusław Linda, Karolina Gruszka, Ireneusz Czop, Dobromir Dymecki, Adam Woronowicz, Zbigniew Zamachowski, gatunek: sensacyjny, thriller, produkcja: Polska 2025, czas 120 min.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl 47f4bae96f

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Śląska pętla

Słowa w książkach Rokity po prostu lubią się nawzajem, nie masz blaszanych ani tekturowych między nimi.

Czasami powtarzam sobie, że irytuje mnie pisanie Rokity (Zbigniewa Rokity, uściślijmy). Irytuje mnie jego dezynwoltura. Jego luz, którego mu oczywiście zazdroszczę. Nawet jeśli ciężko wypracowany (bo w końcu ile osób może zostać obdarowanych takim talentem, jak konferansjerska niemal swada?), jest skuteczny: cała „Aglo" napisana jest, jeśli nie liczyć zapisu dialogów, jak jeden wielki monolog sceniczny. Jego łatwości pisania o sobie, czy może raczej „przez siebie": JA widzę, MNIE się wydaje, MOJE ulubione miejsca to... Tego, że jego nazwisko jest dla kolejnych książek niczym dotyk króla Midasa. Tego rodzaju gawęd, łączących solidną historię Śląska z ciekawostkami, portretami Ślązaków i „kapsułkami" ukazującymi szczegół powstały już w III RP dziesiątki: od „Górnego Śląska" Jana Drabiny, wydanego w serii „A to Polska właśnie" ponad 20 lat temu, po jeszcze ciepły „Śląsk, którego nie ma" Kamila Iwanickiego (Bezdroża) – ale to „Aglo" Rokity będzie miało wielotysięczne nakłady, promocje i nominacje: bo Rokita.

Wścieka mnie jego bezustanna ironijka wobec wszelkich zbiorowych uniesień, jakby od Krzysztofa Vargi ściągnięta, śmieszą mnie frazy nieco, ujmijmy to, ryzykowne: napisać o Erwinie Sówce, najbardziej może znanym malarzu górnośląskim: „nie malował widzialnego Śląska, malował jego duszę", mogłaby utalentowana gimnazjalistka; ale laureat Nike? Drażni mnie (a trochę śmieszy) jego dziecinna powaga, z jaką proponuje proste rozwiązania złożonych problemów: „Śląskość ma już bowiem prawdę, teraz, aby się wyzwolić, potrzebuje nowego, atrakcyjnego mitu" i bawi mnie talent do gotowania zupy na gwoździu, do podniesienia maziajów kilku graficiarzy (wiadomo przecież, co będzie wysprejowane: kilka nazw klubów, CHWDP, 88 i jego głęboka, choć nieortograficzna refleksja o bezsensie życia) do rangi „ukrytej prawdy o Śląsku", prawdy, która umknęła politykom, dziennikarzom i naukowcom, a oto objawiła się autorowi w przejściu pod torami.

Ale, co robić, wracam do pisania Rokity, ponieważ ma on flow, ma on swadę, słowa w jego tekstach po prostu lubią się nawzajem i pasują do siebie, nie masz blaszanych ani tekturowych między nimi. Ma on kapitalne pomysły, z tych, które wydają się oczywiste, leżące na ulicy – ale czemuś to on właśnie po nie sięga. Napisać o Górnym Śląsku, jadąc trasą najdłuższego tramwaju aglomeracji katowickiej, czyli Siódemką, i wysiadając (w opowieści) na kolejnych przystankach? Nie wiem, czy nie mamy do czynienia z cichą grą (może bardziej, jak w slamowym turnieju, zaczepką) z „Siódemką" (2015), czyli najlepszym reportażem publicystycznym Ziemowita Szczerka, autora w niejednym bliskiego Rokicie, choć przewyższającego go stężeniem sarkazmu i niechęci do „narodowych mitów". Nieważne: skoro zaczytałem się w opowieści o katowickiej Siódemce do tego stopnia, że przejechałem swój przystanek w warszawskim metrze, to znaczy, że rzecz jest świetnie napisana (zawsze twierdzę, że to jedna z lepszych metod oceny książek, choć żeby praktykować ją na większą skalę, redakcje powinny fundować recenzentom bilety miesięczne). I ma talent do krótkich, trochę enigmatycznych tytułów, „Aglo" brzmi równie

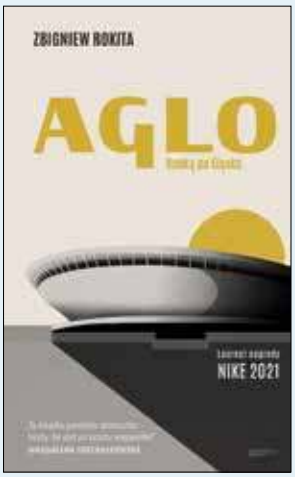

dobrze jak poprzednia jego książka o Śląsku, czyli „Kajś" (2021). Ach, ten Rokita!

Jest to naprawdę dobre wprowadzenie do Śląska: są portrety ludzi i elementy reportażu historycznego, śmiesznostki i ciekawostki często nieznane szerzej nawet historykom, jak to, że do 1937 roku na Śląsku (również po jego niemieckiej stronie) obowiązywały przyjęte na konferencji w Wersalu konwencje w obronie mniejszości, co dało kilka lat względnego spokoju żydowskim obywatelom III Rzeszy. Są detale architektury i zakamarki, jak każda dobra książka reporterska skłania „Aglo" do tego, by założyć porządne buty i ruszyć z książką w ręku śladem torów Siódemki (nie wykluczałbym w przyszłości wytyczenia przez władze Katowic i Bytomia szlaku Rokity). A jednocześnie – nie jest niewinna (to niekoniecznie zarzut), wkraczając w sam środek sporu o śląskość, o miejsce Śląska we współczesnej Polsce i w polskiej pamięci historycznej.

Ma Zbigniew Rokita rację, kiedy przypomina, że więź mieszkańców Śląska z Polską (pomijając już erodowanie „spoiw" i tożsamości zbiorowych, którymi naznaczona

eprasa.pl 47f4bae96f

jest większa część współczesnego nam świata) jest mniej oczywista i jednoznaczna niż krakusów czy warszawiaków. Że tragiczne często podziały, w latach powstań śląskich przebiegające w poprzek rodzin (w tym rodziny autora!), na tych, którzy opowiadali się „za Polską" albo „za Niemcami", wcale niekoniecznie były prostymi podziałami na „dobrych i złych". Że dwa największe wydarzenia, które definiowały śląską tożsamość i stosunek do Polski w XX wieku to, oczywiście, powstania – ale też Tragedia Górnośląska, czyli pasmo represji, zabójstw, deportacji, jakich doświadczyli mieszkańcy po wejściu na Śląsk w 1945 roku Sowietów, ale przecież i polskich władz. Tak, narzuconych przez Moskwę – replikujemy z perspektywy Warszawy: czy jednak rzeczywiście różnica ta miała aż takie znaczenie dla więźniów obozu koncentracyjnego w Świętochłowicach, dla byłych powstańców zabijanych nieraz na progu swojego familoka?

Ma rację, kiedy podkreśla to, o czym mieliśmy okazję pisać w „Tygodniku" przy okazji głośnej wystawy „Nasi chłopcy": że perspektywa „warszawskocentryczna" nie jest ani jedyna, ani obowiązująca. Drażni mnie (ale może chce być w tym sokratejskim gzem, który drażni, żeby skłonić do refleksji?), kiedy używa przeciwstawień „my, Ślązacy – oni, Polacy", eskalując odrębność, osobność do poziomu dychotomii. Niepokoi jednak najbardziej, kiedy – pisząc o lokalnych smakach i tłumacząc lokalną pamięć – zdaje się naprawdę nie rozumieć, że nie sposób jest kwestii „śląskości" całkowicie wyjąć z szerszych ram i szerszych rywalizacji czy sporów środkowoeuropejskich. Nie za sprawą centralistycznego czy nacjonalistycznego uporu Warszawy (platformerskiej czy pisowskiej), lecz po prostu kontekstu międzynarodowego. Przed Polską (przed II RP) Śląsk nie leżał w granicach mitycznej Rurytanii, a drukowane dziś mapy Oberschlesien nie są drukowane w esperanto. Ignorowanie tego może być przywilejem poetów, jeśli nie Eichendorffa, to Wojaczka – ale nie Zbigniewa Rokity, zakochanego w fusbalu twardziela, bywalca blokowisk i barów.

Zbigniew Rokita, „Aglo. Banką o Śląsku", Znak, 2025.

Od Krakowskiego do Powiśla

Nad Wisłą gnieżdżą się nędzarze,
w kościołach dobroczynne tłumy.
Arystokraci i bogacze
topią w wyścigach ciężkie sumy...

Tak, oczywiście, to „Lalka, czyli polski pozytywizm", jeden z wielu utworów Jacka Kaczmarskiego, który jest czymś więcej niż impresją czy interpretacją: jest odczytaniem, w 30 wersach, istoty najwybitniejszej, jak chce wielu, a na pewno najwybitniejszej w XIX wieku powieści polskiej.

Powieści, która miała wyjątkowe szczęście do kamery, ale i do budzenia sporów o jej filmową interpretacje. Sienkiewicz tego szczęścia nie miał (choć milej oglądać „Potop" niż „Ogniem i mieczem"), wajdowski „Pan Tadeusz", choć piękny malarsko, też nie ostał się w kanonie. Za to kolejne „Lalki" wracają, a przed nami przecież już za kilka miesięcy kolejna odsłona sporu: czy lepsza okaże się interpretacja, jaką szykują Gigant Films (reż. Maciej Kawalski), czy Netflix (reż. Paweł Maślona)? Wielu rosło w cieniu serialu Ryszarda Bera: pierwszy jednak był Wojciech Has i jego „Lalka" z 1968 roku.

Wystawa (choć może bardziej pasowało by słowo „pokaz"?) zorganizowana została w Roku Hasa, w stulecie urodzin reżysera: historia i instrumentarium kręcenia ekranizacji prozy Prusa pozostają jednak głównym tematem. To aż niezwykłe, ile udało się zmieścić na kilkudziesięciu metrach kwadratowych salki Kordegardy: znalazła się tam i opowieść o warsztacie i obsesjach Hasa, i o jego aktorach, i o grach z cenzurą i władzami, jakie przyszło toczyć reżyserowi pod

koniec dusznych lat 60. (straszno-śmieszne jest oficjalne pismo Hasa do szefa Naczelnego Zarządu Kinematografii, w którym zobowiązuje się do „ograniczenia wątków żydowskich" i „zwiększenia scen z udziałem ludu"!). Ta kondensacja to majstersztyk wystawienniczy, fenomen na podobieństwo tego filmowego, kiedy cały świat udawało się spakować na schowaną w blaszanej puszce szpulę z taśmą.

Każdy znajdzie coś dla siebie, do upadłego spierać się można o wyższość Dmochowskiego nad Kamasem lub odwrotnie (dla mnie tylko Kamas!), ale jedna scena, odtwarzana z projektora, zapiera dech: współtworzony przez Jerzego Skarżyńskiego, ulubionego scenografa Hasa, mastershot, w którym Wokulski z granitów Krakowskiego Przedmieścia schodzi w dół, przez nędzę ludzką, ku slumsom Powiśla. Wszyscy, którzy piszczą z zachwytu na scenie z „Notting Hill", w której Hugh Grant wędrował przez pory roku – niechże wrócą do tej sceny.

„«Lalka» Wojciecha Jerzego Hasa. Wystawa w 100. rocznicę urodzin reżysera", kurator Rafał Syska. Galeria Kordegarda, Krakowskie Przedmieście 15, Warszawa; wystawa dostępna do 12.10.2025 r.

eprasa.pl 47f4bae96f

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Panie Tomku, wiem, że nadał Pan tytuł temu zdjęciu. Jaki?
Tomek: – Kolejka do miski!

– Złośliwie! W jakich okolicznościach zrobił Pan to zdjęcie?
– To zdjęcie jest zrobione podczs pochodu piewszomajowego w 2001 r., który miał swój koniec na placu Grzybowskim. Dochodziło do drobnych incydentów, jak to zwykle bywa w takich okolicznościach, stąd udział policji.

Na rogu ulic Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej, przy stacji metra, zatrzymała się dziewczyna i poiła z miski swojego psa, bo było goraco. Policjanci zerkają na nich, jakby sami chcieli się napić tej psiej wody.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 47f4bae96f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Zabić głowę państwa

104 lata temu Polska mogła stracić głowę państwa. We wrześniu 1921 r. marszałek Józef Piłsudski ledwo uszedł z życiem zaatakowany przez ukraińskiego terrorystę.

Aż do wyboru pierwszego prezydenta Rzeczpospolitej (11 grudnia 1922 r. wybrany został Gabriel Narutowicz) Józef Piłsudski reprezentował Polskę na arenie międzynarodowej. Chciał przede wszystkim zapewnić państwu bezpieczeństwo przez budowę sojuszy wojskowych – dlatego porozumiał się z Francją. Ale w polityce wewnętrznej też nie było spokojnie. Słaby rząd Witosa chylił się ku upadkowi.

25 września 1921 r. Piłsudski przyjechał z oficjalną wizytą do Lwowa. Miał otworzyć pierwsze Targi Wschodnie. Tłumy przywitały marszałka na dworcu, potem była defilada wojskowa i przejazd odkrytym samochodem na Mszę do katedry łacińskiej. Zamachowcy jeszcze wówczas nie zaatakowali. Nie zrobili tego również w parku Stryjskim, gdzie odbyła się główna uroczystość, czyli otwarcie Targów.

Piłsudski zdążył spotkać się jeszcze m.in. z arcybiskupem lwowskim Józefem Bilczewskim, bankowcami i dziennikarzami. W rozmowie z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym" mówił o konieczności porozumienia między Polakami i Ukraińcami. W końcu marszałek udał się do sąsiadującego z katedrą ratusza, aby odsłonić ufundowane przez władze miasta godło państwowe. Po uroczystym obiedzie razem z wojewodą lwowskim Kazimierzem Grabowskim wsiadł pod ratuszem do odkrytej limuzyny (Piłsudski usiadł po lewej stronie). Samochód ruszył i wtedy doszło do zamachu.

Gdy rozległ się głośny huk, Marszałek odruchowo pochylił głowę. Tylko dzięki temu uniknął śmierci – pocisk minimalnie minął go i uderzył w szybę samochodu. Padły kolejne dwa strzały. Kule dosięgły wojewodę Grabowskiego, który siedział wyprostowany (myślał, że huk to odgłosy źle wyregulowanego silnika), mimo to przeżył – został ranny w prawe ramię i lewą rękę. Piłsudski, który nie odniósł żadnych obrażeń, zrealizował ostatni punkt swojej lwowskiej wizyty – zgodnie z planem odwiedził Teatr Wielki.

Na zamachowca od razu rzucił się starszy posterunkowy Jakub Skweres. Padł czwarty strzał – to niedoszły zabójca marszałka ranił się w pierś. Gdyby nie policjanci i żołnierze z warty przed ratuszem, zamachowiec zostałby zlinczowany przez tłum. Przewiezionego pod eskortą policji do szpitala przestępcę od razu przesłuchano. Zeznał, że zamierzał zastrzelić jedynie wojewodę jako wroga ludności ukraińskiej, a potem miał demonstracyjnie wręczyć pistolet Piłsudskiemu.

Ostatecznie okazało się, że zamachowcem jest 21-letni Ukrainiec Stepan Fedak, ps. „Smok", syn znanego lwowskiego adwokata i działacza ukraińskiego – również Stepana Fedaka. Młody Fedak był weteranem Legionu Ukraińskich Strzelców Siczowych, Ukraińskiej Armii Halickiej i Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. W chwili zamachu należał do działającej przede wszystkim na emigracji Ukraińskiej Wojskowej Organizacji przekształconej następnie w słynną OUN – Organizację Ukraińskich Nacjonalistów.

eprasa.pl 47f4bae96f

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

TO KONIEC ELEKTROWNI DOLNA ODRA?
„Trwała likwidacja ponad 600 miejsc pracy”

Fot. NSZZ „S” Pomorza Zachodniego

Zarząd i Rada Nadzorcza PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna podjęły decyzję o dwuetapowym wycofywaniu bloków węglowych Elektrowni Dolna Odra (EDO) w Nowym Czarnowie koło Gryfina. Tamtejsza elektrownia składa się z czterech bloków węglowych o mocy 225 MW każdy. Pierwsze dwa bloki mają zostać wygaszone z końcem 2025 roku, natomiast kolejne dwa będą działały do końca sierpnia 2026 roku – w tym terminie upłynie bowiem dwuletni okres wypowiedzenia umowy na dostawy ciepła dla Gryfina przez PGE GiEK.

EDO od lat dostarczała ciepło dla mieszkańców miasta i okolic, dając zatrudnienie bezpośrednio niemal 750 pracownikom. Teraz o dostawy prądu ma zadbać nowo wybudowana elektrownia gazowa PGE Gryfino Dolna Odra, natomiast ciepło ma dostarczać Ciepłownia Gryfino, której start zaplanowano na wrzesień 2026 roku. Co to oznacza dla pracowników?

– Za trzy miesiące, na koniec tego roku, nastąpi obniżenie zatrudnienia z obecnych 750 do 395 pracowników. Później w okresie do 31 sierpnia 2026 roku zatrudnienie zostanie zmniejszone do poziomu 124 osób. To oznacza trwałą likwidację ponad 600 miejsc pracy. Być może niektórzy pracownicy będą mogli skorzystać z zapisów ustawy osłonowej, która na ten moment procedowana jest w kompleksie Pątnów–Adamów–Konin z marnymi rezultatami. Jak na razie ani pracownicy, ani strona społeczna nie otrzymali żadnej wiążącej informacji ze strony Grupy PGE GiEK odnośnie do założeń wdrożenia zabezpieczeń ustawy osłonowej. Zobaczymy, czy Grupa dotrzyma zobowiązań wynikających z podpisanych dwóch porozumień kończących spory zbiorowe, w których gwarantowano nam zatrudnienie do roku 2027 i dotrzymywanie wszystkich zobowiązań, zawartych umów oraz niewypo-

eprasa.pl 47f4bae96f

Fot. M. Żegliński

„Dzisiaj w handlu ponad 800 tys. osób pracuje na najniższej krajowej. Dla nich to jest jedyna podwyżka w danym roku ”.

Alfred Bujara, szef handlowej „S” o podwyżce płacy minimalnej, TV Trwam, 23 września br.

wiadalność układów itp. Pierwsze podpisano w naszym Oddziale w 2016 roku, kolejne w 2021 roku. Zawierają one zapisy, których gwarantem jest PGE GiEK SA i zgodnie z którymi w przypadku dokonywania zwolnień indywidualnych lub grupowych z przyczyn leżących po stronie pracodawcy zobowiązują go do wypłaty odszkodowania dla pracowników. Czy do wypłaty takich odszkodowań dojdzie, zobaczymy pod koniec roku, a może będą proponowane pracownikom inne rozwiązania – mniej korzystne w zamian za zrzeczenie się prawa do odszkodowania. Takim przykładem jest wdrożony w lipcu br. Program Dobrowolnych Odejść (PDO) – powiedziała nam Anna Grudzińska, przewodnicząca Międzyzakładowej Organizacji Związkowej NSZZ „Solidarność” Elektrownia Dolna Odra.

Związkowcy mówią, że nie wiedzą, w jakiej formule i na jakich zasadach odbywać się będzie typowanie pracowników do zwolnień. Dodają, że nikt do chwili obecnej z nimi nie rozmawiał o konkretach, a czas nieubłaganie płynie.

– Natomiast mamy informacje, że na proces związany ze sprawami społecznymi Grupa zabudżetowała około 250 mln zł. Tymczasem za 200 mln zł można było dokonać konwersji Elektrowni Dolna Odra na współspalanie węgla i biomasy. Za nakład inwestycyjny w wysokości 200 mln zł Elektrownia Dolna Odra mogłaby pracować przez kolejne 10 lat. Dla nas to jest decyzja typowo polityczna – oceniła przewodnicząca Grudzińska.

APEL POCZTOWCÓW

Organizacja Międzyzakładowa NSZZ „Solidarność” Pracowników Poczty Polskiej wystosowała 17 września list otwarty do prezydenta RP, parlamentarzystów oraz posłów do Parlamentu Europejskiego, w którym apelują o pilną reakcję wobec dramatycznej sytuacji w Poczcie Polskiej.

Pocztowcy z Solidarności proszą o podjęcie działań legislacyjnych i kontrolnych, które zatrzymają proces ograniczenia powszechności usług pocztowych, zapewnią spółce stabilną rolę w systemie bezpieczeństwa i obronności kraju, zatrzymają proces zastępowania umów o pracę umowami B2B, ochronią miejsca pracy oraz będą przeciwdziałać „dalszej dezintegracji spółki i jej marginalizacji”.

– Już dziś zatrudnienie w Poczcie Polskiej spadło poniżej 50 tysięcy pracowników. To ostatni moment, aby zatrzymać proces drastycznego zmniejszania zatrudnienia i niszczenia społecznej misji spółki – napisali w liście.

WARTO BYĆ W SOLIDARNOŚCI

Związkowcy z Regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ „Solidarność” na czele z przewodniczącym Bartoszem Budziakiem i wiceprzewodniczącą Anetą Mazur przeprowadzili akcję promocyjno-informacyjną przed siedzibą firmy Gates Polska w Legnicy.

Pracownicy przychodzący do zakładu pracy i go opuszczający otrzymywali od działaczy Solidarności ulotki, deklaracje członkowskie i gadżety związkowe zachęcające do przyłączenia się do największego w Polsce związku zawodowego.

Gates Polska działa na polskim rynku od 2001 roku i zatrudnia ponad 1150 osób. Firma zajmuje się produkcją pasków oraz węży hydraulicznych. W Legnicy przedsiębiorstwo posiada swój największy w Europie i drugi na świecie zakład pracy. Organizacja Zakładowa NSZZ „Solidarność” zawiązała się w firmie w 2025 roku.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

3.10.1980 – w proteście wobec wstrzymywania realizacji Porozumień Sierpniowych odbywa się trwający godzinę ogólnopolski strajk ostrzegawczy;

2.10.1981 – na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” przyjęty zostaje statut Związku;

7.10.1981 – kończą się obrady I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „S”;

5.10.1983 – Lechowi Wałęsie zostaje przyznana Pokojowa Nagroda Nobla;

6.10.1992 – rozpoczynają się negocjacje związkowców „S” z rządem i pracodawcami nad przygotowaniem zbioru ustaw określanych jako Pakt o przedsiębiorstwie.

eprasa.pl 47f4bae96f

Antyzwiązkowy prezes odwołany. Bez Solidarności nie byłoby to możliwe

Burmistrz Ustki Jacek Maniszewski odwołał ze stanowiska prezesa spółki Wodociągi Ustka Krzysztofa Czajkowskiego. Solidarność zabiegała o to **od wielu miesięcy**.

Agnieszka Żurek

Po długich bataliach wróciła normalność. Atmosfera w spółce diametralnie się zmieniła, pracownicy mówią, że aż chce im się rano wstawać i iść do pracy. To wielki sukces Solidarności – mówi Ewa Banasik, przewodnicząca NSZZ „Solidarność" w spółce z o.o. Wodociągi Ustka.

Działania na szkodę pracowników

Związkowcy wskazywali na licznie nieprawidłowości, mówili o działaniach na szkodę spółki, a przede wszystkim – jej pracowników. Wykazała to także kontrola Rady Nadzorczej spółki. Jak stwierdza w rozmowie z nami Dariusz Piankowski, nie bez znaczenia okazała się również presja medialna, m.in. portalu Tysol.pl. – Po dwuletnich intensywnych zabiegach nie tylko w Komisji Zakładowej, ale również u pana burmistrza Ustki w końcu udało się uporządkować sytuację panującą w spółce. Naszym celem nie było odwołanie prezesa, ale zapewnienie ludziom godnych warunków pracy i płacy oraz wolności działania związków zawodowych, bez dyskryminacji ich członków i osób funkcyjnych – zaznacza w rozmowie z nami szef regionu usteckiego „S". – Nigdy by się to nie udało bez Solidarności, bez zaangażowania władz Regionu. Inicjatorami zajęcia się sprawą byli oczywiście pracownicy spółki, a my im podpowiedzieliśmy, jakimi ścieżkami mogą się poruszać. Dzięku-

Fot. archiwum spółki Wodociągi Ustka

eprasa.pl 47f4bae96f

ję z całego serca za zaangażowanie w tę sprawę „Tygodnika Solidarność” i całego Związku. Jestem przekonany że dzięki rzeczowej argumentacji i odpowiedniemu wypunktowaniu sprawy przez media udało się dotrzeć do pana burmistrza, a co za tym idzie – przywrócić porządek w spółce – podkreśla Piankowski. – Jesteśmy wdzięczni Solidarności za doprowadzenie tej sprawy do końca. Wielką rolę odegrało tutaj zaangażowanie i poświecenie przewodniczącego Regionu Słupskiego NSZZ „Solidarność” Dariusza Piankowskiego, a także Tomasza Knapa. Bez nich na pewno nie dalibyśmy rady. No i – rzecz jasna – nie dalibyśmy sobie rady bez zaangażowania naszych pracowników domagających się godnych warunków pracy – zaznacza Ewa Banasik.

Obecnie w usteckich wodociągach na stanowisko p.o. prezesa spółki powołana została Dorota Zygmunt, która będzie pełniła tę funkcję do czasu rozstrzygnięcia konkursu na prezesa zarządu. Pojawiają się sygnały, że dawni pracownicy związani ze spółką być może rozważą powrót do niej po unormowaniu sytuacji. – Na razie panuje u nas jeszcze chaos ze względu na reorganizację, ale atmosfera jest zupełnie inna, wszyscy są zadowoleni i chętnie pomagają pani Dorocie – wyjaśnia szefowa „S” w usteckich wodociągach.

Zastraszanie i dyskryminacja

Odwołanie prezesa zarządu Wodociągów Ustka nastąpiło po opublikowaniu wyników kontroli przeprowadzonej przez Radę Nadzorczą spółki.

Zatrudnieni w Wodociągach wskazali, że atmosfera w miejscu pracy była zła i przejawiała się m.in. zastraszaniem i dyskryminacją ze względu na przynależność związkową, a także brakiem awansów i pomijaniem przy podwyżkach w przypadku członków NSZZ „Solidarność”. Pracownicy mówili także o nierównym traktowaniu zatrudnionych w zależności od tego, czy należeli oni do wąskiej grupy „ludzi prezesa”, czy też nie. Wskazali także na potwierdzone przez lekarzy problemy zdrowotne pracowników, do których doprowadziły w ich opinii działania prezesa spółki. „W firmie panuje powszechna opinia, żeby nie zapisywać się do związków zawodowych, nie mając jeszcze umowy o pracę na czas nieokreślony, gdyż grozi to nieprzedłużeniem umowy. Pracownicy, którzy byli lub są w związkach, twierdzą, że z tej racji mieli zamkniętą ścieżkę awansu oraz byli gorzej traktowani przez przełożonych” – napisano w protokole pokontrolnym Rady Nadzorczej spółki.

W dokumencie zawarte zostały także opinie pracowników dotyczące forsowania przez prezesa rozwiązań niebezpiecznych dla spółki. Kontrola wykazała między innymi, że większość badanych poinformowała, że przy okazji podwyżek inflacyjnych prezes zwiększał im zakres obowiązków o czynności niezwiązane bezpośrednio z ich pracą (koszenie trawy, pielenie, malowanie obiektów, odśnieżanie i inne prace gospodarskie). Badani podkreślili, że zlecane im dodatkowe czynności nie miały charakteru incydentalnego, ale skutkowały niemożnością wykonywania w tym samym czasie podstawowych obowiązków pracowniczych, tj. nadzoru nad pracą urządzeń. Wskazano również, że w wyniku działań prezesa spółka straciła wielu cennych i doświadczonych pracowników. W protokole zostało wymienionych w tym kontekście kilkanaście nazwisk. Członkowie Rady Nadzorczej spółki napisali, że z ich ustaleń wynika „ogólny brak kompetencji prezesa w zarządzaniu kadrami oraz przedkładanie osobistych uprzedzeń w stosunku do członków związków zawodowych nad dobro firmy”.

Pracownicy Wodociągów Ustka mówili również o nieuchwytności prezesa w ważnych dla nich sprawach przy jednoczesnym stosowaniu przez niego nadmiernej kontroli i odrywania ich od pracy – także w terenie – w celu osobistego stawiennictwa w kwestiach niewymagających pilnego działania. „Prawie wszyscy zatrudnieni, z którymi rozmawiała Rada Nadzorcza, potwierdzili ponadprzeciętną rotację pracowników skutkującą obniżaniem zasobów kompetencyjnych spółki praktycznie na wszystkich jej szczeblach. Przyczyną takiego stanu, zdaniem Komisji RN, było nietraktowanie przez prezesa zasobów ludzkich jako kluczowego czynnika stabilności i rozwoju firmy Wodociągi” – zaznaczono w protokole pokontrolnym.

PRACOWNICY MÓWILI TAKŻE O NIERÓWNYM TRAKTOWANIU ZATRUDNIONYCH W ZALEŻNOŚCI OD TEGO, CZY NALEŻELI ONI DO WĄSKIEJ GRUPY „LUDZI PREZESA”, CZY TEŻ NIE.

Przykład usteckich wodociągów pokazał, jak ważną rolę odgrywają w zakładach pracy związki zawodowe i jak skuteczne może okazać się solidarne działanie dla wspólnego dobra. – Oby teraz było już normalnie. Liczymy na to, że wszystko wróci do normy i że będziemy mogli po prostu spokojnie wykonywać swoją pracę – mówi szefowa Solidarności w spółce.

eprasa.pl 47f4bae96f

PRAWO

WIDZISZ NAPAD NA ULICY, I CO DALEJ?
Jak powinieneś się zachować w świetle prawa?

Niedawno zdarzyło mi się przechodzić ulicą w jednym z większych miast w Polsce. Zobaczyłem wówczas, jak ktoś napadł na inną osobę. Zastanawiałem się wówczas, co w takiej sytuacji powinienem zrobić? Czy przepisy prawa nakładają na mnie jakieś obowiązki i powinności? W ostatnich latach coraz częściej media informują o napadach w miejscach publicznych i przypadkach, gdy **świadkowie nie wiedzieli, jak właściwie zareagować**. W związku z powyższym chciałbym wiedzieć, jakie są moje obowiązki i prawa w takiej sytuacji?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Prawo karne jasno określa, że każdy świadek przestępstwa ma obowiązek powiadomienia organów ścigania. Według przepisów Kodeksu postępowania karnego każdy, dowiedziawszy się o popełnieniu przestępstwa ściganego z urzędu, ma społeczny obowiązek zawiadomić o tym prokuratora lub policję. Z kolei w przypadku cięższych przestępstw ten obowiązek określają przepisy Kodeksu karnego. Z art. 240 kk wynika, że ten, kto, mając wiarygodną wiadomość o karalnym przygotowaniu albo usiłowaniu lub dokonaniu czynu zabronionego [...] lub przestępstwa o charakterze terrorystycznym, nie zawiadamia niezwłocznie organu powołanego do ścigania przestępstw, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

Oznacza to, że jeśli jesteś świadkiem napadu, pierwszym zadaniem jest niezwłoczne wezwanie policji i przekazanie jak najdokładniejszych informacji takich jak: miejsce zdarzenia, ilu sprawców bierze w nim udział, czy używają oni broni lub innych niebezpiecznych przedmiotów oraz w jakim stanie jest poszkodowany. Nie oznacza to jednak, że prawo wymaga od świadka zdarzenia fizycznej interwencji, jeśli mogłoby to zagrozić jego życiu lub zdrowiu. Wyobraź sobie sytuację, w której ktoś w parku próbuje okraść przechodnia, a napastnik trzyma nóż. W takim przypadku najbezpieczniejsze i jednocześnie zgodne z prawem zachowanie to wezwanie służb i obserwacja sytuacji z dystansu. Każda uwaga o wyglądzie sprawcy, jego zachowaniu czy kierunku ucieczki może być kluczowa dla policji, a nagranie zdarzenia telefonem może posłużyć jako dowód w postępowaniu. Prawo przewiduje też możliwość udzielania pierwszej pomocy, gdy ofiara jest ranna lub zagrożona utratą życia, jednak działania te powinny być podejmowane w sposób, który nie naraża świadka na niebezpieczeństwo. Warto pamiętać o obowiązku składania zeznań. Jako świadek napadu możesz zostać wezwany do prokuratury, a twoje obserwacje mogą zadecydować o zatrzymaniu sprawcy i skutecznym postępowaniu karnym. Zaniechanie powiadomienia organów w określonych sytuacjach, np. wobec osób szczególnie zależnych lub w przypadku obowiązków wynikających z pełnionej funkcji, może skutkować odpowiedzialnością karną. Prawo pozwala też na użycie odpowiedniej siły w obronie koniecznej. Jeśli bezpośrednio zagrożone jest twoje życie lub zdrowie innych osób, wówczas możesz podjąć działania adekwatne do zagrożenia. Nie można jednak stosować nadmiernej przemocy, oznacza to, że proporcjonalność jest kluczowa. W praktyce chodzi o to, że najlepiej ograniczyć się do działań informacyjnych i ratunkowych, takich jak alarmowanie otoczenia, użycie dźwięku lub światła, wezwanie przechodniów lub ochrona ofiary w miarę możliwości bez fizycznej konfrontacji.

Podsumowując, jeśli jesteś świadkiem napadu, prawo nakłada na Ciebie obowiązek powiadomienia odpowiednich służb, a nie fizycznej interwencji.

eprasa.pl 47f4bae96f

Ważne jest bezpieczeństwo własne i osób trzecich, dokładny opis sytuacji i sprawców, obserwacja zdarzenia oraz – jeśli to możliwe – udokumentowanie materiału dowodowego. Świadome reagowanie może uratować życie, przyczynić się do zatrzymania sprawcy i w pełni odpowiadać obowiązującym przepisom.

Rozliczanie urlopu wypoczynkowego W PRAKTYCE

Prawo do urlopu wypoczynkowego jest jednym z wyznaczników zatrudnienia w ramach stosunku pracy. Prawa tego nie mają bowiem zatrudnieni na podstawie umów cywilnych czy w ramach samozatrudnienia, chyba że w toku negocjacji nad warunkami umowy takie uprawnienie sobie zagwarantują (pracownicy mają urlop z mocy samego prawa). Nie trzeba szerzej uzasadniać stwierdzenia, że urlop wypoczynkowy odgrywa olbrzymią rolę dla każdego pracownika – nie tylko pozwala zregenerować się po wysiłku związanym z pracą, ale często służy także względom rodzinnym (np. wspólny rodziny wyjazd wakacyjny) czy innym prywatnym sprawom (np. możliwość realizowania swoich pasji w czasie urlopu).

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Doniosłość i znaczenie urlopu dla pracowników powoduje, że właściwie każdy aspekt ich regulacji prawnej ma istotne znacznie i warto je przybliżyć. Niniejszy artykuł skupi się na kwestii związanej z wymiarem urlopu i tym, jak w praktyce wygląda jego rozliczanie.

Należy tu wskazać, że punktem wyjścia jest spostrzeżenie, że konieczne jest rozróżnienie dwóch kwestii. Pierwszą (swoistym punktem wyjścia) jest ustalenie przysługującego danemu pracownikowi wymiaru urlopu wypoczynkowego. Wymiar ten ustalany jest w dniach i wynosi co do zasady 20 lub 26 dni w roku kalendarzowym. Niższy przysługuje osobie, która jest zatrudniona krócej niż 10 lat, a dłuższy takiej, która jest zatrudniona co najmniej 10 lat (przy czym do tego stażu wlicza się także inne okresy niż staż pracy, np. okres nauki – szerzej na ten temat pisałem w „TS" nr 31/2025). Przepisy szczególne mogą przy tym przewidywać dłuższy wymiar urlopu dla konkretnych grup pracowników (dotyczy to np. nauczycieli lub osób zaliczonych do znacznego lub umiarkowanego stopnia niepełnosprawności). Uzupełniająco należy wskazać, że powyższa liczba dni dotyczy pracownika zatrudnianego na pełen etat. Osoby pracujące na część etatu mają liczbę dni proporcjonalną do niego, np. pracownik z 15-letnim stażem, który pracuje na pół etatu, ma prawo do 13 dni urlopu (26 dni x 1/2). W przypadku, gdy z wyniku proporcji uzyska się wynik w niepełnych dniach – zaokrągla się go do góry (osoba z przykładu zatrudniona na 3/5 etatu ma zatem wymiar urlopu równy 3/5 x 26 = 15,6, czyli po zaokrągleniu 16 dni).

Drugą kwestią jest sposób rozliczania tego urlopu już po ustaleniu, ile dni przysługuje pracownikowi. Zgodnie z art. 1542 § 2 kp jeden dzień urlopu odpowiada 8 godzinom pracy. Oznacza to, że osoba mająca 26 dni urlopu ma prawo do 208 godzin urlopu i to właśnie w praktyce rozliczania urlopów liczba jego godzin ma kluczowe znaczenie. Żeby to zobrazować, należy wskazać, że brak takiej regulacji nie miałby znaczenia dla osób zatrudnionych na cały etat w podstawowym wymiarze czasu pracy, gdzie każdy dzień pracy i tak wynosi 8 godzi (czyli biorąc jeden dzień kalendarzowy urlopu, faktycznie osoba taka wykorzystuje 8 godzin urlopu). Jednakże w innych sytuacjach ma to olbrzymie znaczenie, co dobrze oddaje poniższy przykład.

Dotyczy on osoby pracującej na cały etat w równoważnym systemie czasu pracy, gdzie w niektóre dni pracuje ona po 12 godzin, a w inne po 4. W jej wypadku wzięcie urlopu na dany dzień kalendarzowy może bowiem oznaczać, że raz będzie miała 12 godzin wolnego, a innego dnia tylko 4. W praktyce zatem jej pula urlopu będzie pomniejszania o tyle godzin, ile faktycznie nie wykonywała pracy. Dzięki temu w skali roku nieważne, w które dni osoba ta będzie korzystała z urlopu, będzie ona miała dokładnie tyle samo wolnego, co pracownik pracujący codziennie po 8 godzin.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 47f4bae96f

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Bartosz Boruciak (Biorę..., s. 50), w „TySolu" od 2018 roku. Trzyma rękę na pulsie nierzadko chimerycznej kultury popularnej. Gospodarz rubryki „Mix płyt". Autor naszych cotygodniowych rozmów z artystami.

Marcin Darmas (Jak..., s. 44), socjolog związany przez lata z Uniwersytetem Warszawskim, był współtwórcą koncepcji i dyrektorem kanału TVP World. Jego ostatnia książka to „Na dystans. Rozważania socjologiczne o boksie" (Wydawnictwo UW, 2019).

Krzysztof Karnkowski (Nocny..., s. 20), doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Magdalena Okraska (Ruskie..., s. 15), publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha! art) w roku 2022.

Jan Wróbel (Wylać..., s. 27), jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich felietonistów. Pisał w takich tytułach jak „Życie", „Dziennik", „Nowe Państwo" czy „Dziennik Gazeta Prawna". Od ponad dekady prowadzi Poranek Radia TOK FM. Publicystykę od wielu lat łączy z zawodem nauczyciela historii w I Społecznym LO w Warszawie (zwanym potocznie „Bednarską").

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 47f4bae96f

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 4714bae96f

45. rocznica
POWSTANIA SOLIDARNOŚCI

WYDANIE SPECJALNE

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL, W EMPIKU I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH.

Piotr Duda: Polska potrzebuje Solidarności

Andrzej Gwiazda o Sierpniu, odwadze i niepodległości

Jan Paweł II – papież Solidarności

45 Solidarność TYLKO RAZEM

eprasa.pl 47f4bae96f